

razem

młodzi przyjaciele

CZASOPISMO POLSKIEJ Y. M. C. A.

ROK 2.

PARYŻ, 1-15 LIPCA 1945.

NR. 12-13 (20-21)

Inż. JAN REDA

ODBUDOWA PO WOJNIE

Jak po każdej wojnie tak i po obecnej świat staje przed problemem odbudowy. Będzie on trudniejszy i bardziej powszechny niż po wojnach poprzednich, gdyż zniszczenia wówczas koncentrowały się zwykle w miejscach bitew. Dziś trzeba będzie odbudowywać dosłownie cały kraj, jeżeli nie świat, jeżeli wojna potrwa dłużej. Szczególnym celem w obecnej odbudowie będą miasta.

Każda wojna niszczy, lecz i każda wojna buduje. Poczernie wygląda to na utopię, w rzeczywistości jest prawdą. Wojna, niszcząc, wyzwala jednocześnie postęp i technikę, która szybciej i swobodniej rozwija się w tym okresie, pozbawiona takich więzów, jak ekonomia, amortyzacja; te wartości zastąpione są patriotyzmem, szowinizmem, zaufaniem i wiarą w zwycięstwo, lub lepsze jutro.

Skąd te hasła, przecież istniejące i w czasie pokoju, mają tak wielką moc w czasie wojny? Próżnoby szukać jasnych i konkretnych określeń. Każdy wie, że tak jest, ba, każdy wie, że tak być musi. A dlaczego? Nie będziemy w ramach tego artykułu ani starać się wyjaśnić tego zagadnienia, ani szukać jego uzasadnienia. Jeślibyśmy jednak chcieli zbudować w czasie pokoju jakiś gigantyczny samolot, mogący przewieźć 500 pasażerów, dając im 100 proc. gwarancji bezpieczeństwa, to z całą pewnością spotkalibyśmy się ze sprzeciwem, a sam pomysł takiego aparatu byłby schowany głęboko do najsekretniejszych szuflad, aby świat się o nim nie dowiedział, bo to mogłoby zagrażać istniejącemu przemysłowi lotniczemu, mógłby być konkurencją dla kolei i innych środków komunikacyjnych. Ten sam wypadek w czasie wojny przyniósłby wynalazcy wielkie honory, majątek i dumę współziomków. Przykładów takich możnaby przytoczyć mnóstwo.

Wystarczy przeczytać «Fossóyeurs du Progrès»

Lumière'a. W książce tej jest właśnie zebrany przez tego wielkiego odkrywcę fotografii i kina szereg wynalazków, które nigdy nie ujrzały światła dziennego, albo je ujrzały o 50 lat później, gdy, albo skończyły się przeszkody ekonomiczno-amortyzacyjne, zamknięte przez wojnę do lamusa, albo konkurencja innych groziła ruiną dla zbyt zatwardziały konserwatystów — nigdy dobro ogółu nie decydowało o daniu światu tego lub innego wynalazku do użytku.

Przed podobnym problemem stanimy po tej wojnie, chcąc odbudować nasze wsie i miasta. To, że trzeba będzie je odbudować, to nie ulega dla nikogo żadnej wątpliwości, ale jeśli chodzi o to jak odbudować, to już problem, ba, całe zagadnienie, nie tylko ze względów technicznych i ekonomicznych, ale i z uwagi na szereg zagadnień piękna i sztuki.

Architektura jest sztuką, to nie ulega wątpliwości. Owoców sztuki mamy stosunkowo mało, ale «architektów» moc.

Tak, jak kiedyś Stańczyk wygrał zakład, twierdząc, że najwięcej na świecie jest lekarzy, twierdząc, że tak samo dużo jest i «architektów», boć «budować to nie jest żadna sztuka» — «każdy to potrafi» i każdy ma w tym względzie swoje zdanie, swoją niewzruszoną teorię, nie oglądając się na to, czy jest do tego powołany czy też nie. Nie mówię o krytyce. Mało jednak jest dobrej krytyki, która mogłaby pobudzić do wyzwolenia nowej idei lub szukania innych, szerszych i piękniejszych horyzontów przyszłości.

Żadne z zagadnień nie wysunie się na czoło po obecnej wojnie tak, jak zagadnienie urbanistyki, dotychczas zamknięte w lamusie i usuwane na drugi plan, a służące jedynie, w niektórych bardzo ograniczonych, a często indywidualnych wypadkach celem przeprowadzenia własnych interesów.



Cz 31892/1945/12-12

1604 C1976

Ze trzeba odbudowywać i budować, to nie ulega wątpliwości.

Ze trzeba budować maszyny, środki lokomocji i drogi w sposób nowoczesny, to nie znajdziemy z pewnością ani jednego zdrowo myślącego człowieka, aby się z nami nie zgodził. Jeżeli jednak przejdziemy na grunt architektury, urbanistyki i budownictwa, to tu nowoczesność będzie, z jednej strony całkowicie potępiona, z innej, pojęcie jej będzie bardzo względne, idące raczej wstecz, niż z postępem techniki.

Jasne i wyraźne stanowisko architektów, konstruktorów i wogóle techników, że architektura z żelazobetonu, stali i szkła MUSI być odmienna od architektury cegły, kamienia i drzewa — nie wszystkim przemawia do przekonania.

Ze miasto posiadające jako środki lokomocji: kolej elektryczną, samochód i samolot MUSI mieć inny wygląd i inny CHARAKTER ZABUDOWY, niż dawne miasto piechurów i dyliżansów.

Ze człowiek obecny, mający możność natychmiastowego rozmawiania z innym osobnikiem oddalonym od niego o tysiące kilometrów, ba, nawet widzieć go w czasie rozmowy w swoim własnym aparacie telewizyjnym, lub

że tenże człowiek, mogący w ciągu nieledwie kilkunastu godzin dostać się z jednej półkuli na drugą, mając do dyspozycji taki środek lokomocji jak samolot stratosferyczny, albo mogący słuchać w swoim zacisznym gabinecie odczytów, sztuk teatralnych i muzyki z każdej części świata, taki człowiek inaczej żyje i czuje niż człowiek miasta dyliżansów i TAKI człowiek musi INACZEJ MIESZKAĆ, niż człowiek średniowieczny, dla którego jazda z Warszawy do Rzymu i z powrotem była przedsięwzięciem, wymagającym blisko rok czasu; musi mieszkać RÓWNIEŻ NOWOCZESNIE, tak jak NOWOCZESNIE ŻYJE.

Największym wrogiem nowoczesnej architektury jest błędne pojęcie jej nowoczesności. Żyło się ono z pojęciem ciasnoty, brakiem przestrzeni i tandetą, albo z pojęciem złe rozumianego maszynizmu, kubizmu, modernizmu i innych jeszcze izmów.

To wynik złe zrozumianej ekonomii, stosunków materialnych, braku świadomości i programu odbudowy po wojnie.

«Wielu architektów zdało sobie sprawę, że kwestia mieszkania jest jednym z najważniejszych problemów, przed którymi stają wielkie skupiska ludzi. Niestety w poszukiwaniach za minimalną powierzchnią «szufladki do mieszkania» zapomnieli najważniejszej rzeczy, że mieszkańcowi należy zapewnić nie tylko wypoczynek i nabranie sił fizycznych, ale i zacisznego ustronia dla nabrania sił psychicznych i duchowych, możliwości odizolowania się o tyle więcej o ile bardziej więzy kolektywne będą go zaciskać z każdym dniem»...

Dom nowoczesny nie może być sam. Porównanie ekonomiczności samochodu w produkcji masowej jest całkowicie błędne, a budowa domów standardowych (fabrycznie przygotowanych) rozpoczęta ostatnio w Ameryce podkreśliła ten fakt.

Nie można szukać oszczędności i ekonomii w «muszli mieszkalnej» lecz w organizacji, w rozdzieleniu terenu, w bloku i w całej dzielnicy. Wcale nie jest powiedziane, że należy budować dom, aby on mógł się amortyzować w ciągu 15-20 lat, gdyż jego forma zewnętrznie może ulec zmianie tak, jak model samochodu.

Miasto nowoczesne również nie może być ciasne jak

mieszkanie, wprost przeciwnie, musi mieć dużo przestrzeni wolnej i musi mieć z góry określone i przewidziane swoje możliwości rozwojowe, i wcale nie może być tanio budowane w pojęciu codziennym tego słowa.

Wojny trwały i będą trwać, a przecież są najdroższymi imprezami jakie świat zna. Żeby tworzyć i mówić o nowoczesnej architekturze miasta, należy przede wszystkim unowocześnić wszystkie elementy, jakie składają się na jego całość. Należy budować nowoczesne domy, nowoczesne drogi, środki lokomocji, place, ulice, dać poczesne miejsce zieleni i parkom oraz wszystko to szarmonizować w jedną całość urbanistyczną.

W czym więc, głównie będzie się wyrażać nowoczesna architektura? Czy w małych, choć widnych, i ciasnych mieszkaniach? Czy znów w luksusowych budynkach użyteczności publicznej? Czy w małych ogródkach jordanowskich i miniaturowych parkach?... Nie!

Nowoczesna architektura, to architektura dająca wyraz ostatnim zdobyczom technicznym, to powszechność i udostępnienie całej ludzkości najbardziej zdrowotnych, higienicznych, przestronnych, dobrze oświetlonych i odpowiednio nasłonecznionych miejsc do pracy i odpoczynku.

To tak pojęte i realizowane miasto, aby można było w nim swobodnie się poruszać zarówno piechurów jak i wszystkim środkiem zmechanizowanej lokomocji.

To swoboda w ruchu we wszystkich kierunkach pod warunkiem, że będą one z góry obmyślane i przygotowane do tego celu.

To swoboda przestrzeni lecz decentralizacja życia i obecnych skupisk przy centralizacji zdobyczy technicznych i grupowaniu ich w logiczne zespoły wydobywania maksimum wydajności dla człowieka.

Maszyna ma służyć człowiekowi.

Człowiek tak ją powinien eksploatować i korzystać, aby dała mu ona wszystko, przy najmniejszym wysiłku z jego strony.

Skoordynowanie oraz zebranie wszystkich zagadnień życia codziennego i zamknięcie ich w budowlu z odpowiednim zużytkowaniem w mieście, dając jednocześnie przyszłą swobodę rozwoju, będzie zadaniem Nowoczesnej Architektury, będzie tą Nowoczesną Architekturą.

Miasta więc musimy odbudowywać według najbardziej nowoczesnych pojęć i zgodnie z całym doświadczeniem lat ubiegłych, a w szczególności obecnej jeszcze trwającej wojny. Nie wolno nam mówić, że za 20 lub 40 lat przyjdzie nowa wojna z jakimiś nowymi środkami wojowania, które przecież zniszczą i to miasto, które odbudowaliśmy jako odporne na podstawie dziś znanych nam sposobów wojowania. Byłby to błąd nie do darowania.

Jakby wyglądało obecne nasze życie, gdybyśmy myśleli kategoriami z okresu wojen krzyżowych? Co by się działo z naszymi miastami?

Chcąc zabezpieczyć miasto przed wrogiem albo pożarem, musimy je budować według postulatów zabezpieczających nas przed dzisiejszym obliczem wroga lub pożaru i posługiwać się dzisiejszymi doświadczeniami, a nie opuszczać rąk i czekać z uwagi na to, że może przyjść nowy nieznany kataklizm, który i to obecnie odbudowane miasto obróci w perzynę. Również nie możemy czekać na moment, który nadejdzie, aby nam pokazać nowe oblicze wroga miast, żeby zacząć zabezpieczać się przeciw temu najnowszemu wrogowi, bo on nie będzie ostatni i nie jedyny.

Im bardziej będzie szedł postęp cywilizacji, tym roduje i ilość «wrogów ludzkości» będzie się stale po-

większać, nigdy zmniejszać. Charakter wrogości może być odmienny, ale skutki zawsze destrukcyjne.

Nie ma dziś przedsięwzięcia, które by można nazwać wielkie, zbyt kosztowne i nierealne. Wojna, szalejąca na całym świecie, budująca swoje narzędzia śmierci i obrony, całkowicie oddaliła od naszych umysłów określenie — niemożliwy... Rewolucja architektury jest spełniona, stworzywszy formę, technikę i nowe układy odpowiadające potrzebom i zdolne do zdania egzaminu...

Odbudowujemy więc nasze miasta i miasteczka, wioski i osady, domy i mieszkania zgodnie z nakazem chwili i dobrze zrozumianej nowoczesności.

Jakież więc ma być miasto przyszłości, przyszłości tej niedalekiej, którą musimy zapoczątkować, którą musimy realizować.

Miasto odbudowane to miasto wstęgowe. To szereg drobnych miasteczek położonych bezpośrednio obok siebie i biegnących wzdłuż szlaku komunikacyjnego. To nie innego jak zwykła polska wieś, dwustronnie wzdłuż szosy zabudowana. Będzie to rodzaj zespołu członków żyjących całkowicie własnym życiem, samowystarczalnym dla potrzeb codziennych. Członcy takie będą posiadały pewne urzędy użyteczności publicznej w skali odpowiadającej ilości ludności danego czy też szeregu członków (gmina, urząd policyjny, szkoła, itp.).

Wielkość członu mierzyć będziemy ilością mieszkańców, a jako ilość dostateczną dla samodzielnej egzystencji życia codziennego, ustalimy na 5000-6000 osób.

Szeregom zgrupowanym, bezpośrednio sąsiadującym członom, będą odpowiadały urzędy i użyteczności publiczne o wyższej skali np. starostwa, magistrat, kino, teatr, szpital. Większa ilość członków będzie miała instytucje o wyższej użyteczności publicznej jak województwo, jedno z ministerstw, operę i t.p.

Na szlaku komunikacyjnym szerokości około 250 mtr. będą rozmieszczone wszystkie środki lokomocji szybko i dalekobieżnej, którymi mieszkańcy poszczególnych członów będą mogli dostać się w ciągu 15 minut z jednego krańca 100-kilometrowego miasta na drugi, będzie to zależało jedynie od wyboru odpowiedniego środka lokomocji od tramwaju począwszy, a na samolocie skończywszy.

Ulicami biegnącymi w poprzek i wzdłuż od głównej arterii będzie się odbywać komunikacja krótkodystansowa obsługująca dany człon lub bezpośrednio z nim sąsiadujące, jak również częściowo komunikacja towarowa i krótkodystansowy ruch pieszy. Komunikacje tego rodzaju będą całkowicie wydzielone od głównej magistrali, a ewentualne przecięcia jej będą b. rzadkie (2 na jeden człon) i zawsze będą się krzyżować z główną magistrala w dwóch poziomach.

W ten sposób siłą konieczności uzyskamy całkowitą decentralizację, gdyż rozmieszczenie urzędów wzdłuż całego miasta wyrówna zainteresowania mieszkańców dla każdej dzielnicy. Jest to jedyny najbardziej racjonalny sposób przeprowadzenia decentralizacji.

Problem decentralizacji jeszcze o tyle jest b. ważnym, że przeprowadzenie go napotka na wielkie trudności. Ludzie raz zamieszkali miasto trzymają go się kureczowo i nie ma siły, któraby mogła ich z niego usunąć. Nikt nie chce się dobrowolnie wynieść, jeden dlatego, że jest związany pracą, a drugi, choć nie pracuje, żyje nadzieją uzyskania jej, nawet groźba śmierci nie ma w sobie dostatecznej siły. Straty od bombardowania nie wystarczyły do wypędzenia ludności z miast.

Planowe natomiast rozmieszczenie urzędów użyteczności publicznej i odpowiednia forma miast rozwiąże to zagadnienie samorzutnie i bez większych trudności.

Decentralizacja miast to najbardziej konieczny i palący problem, który musi być za wszelką cenę rozwiązany. Nie mówiąc już o wojnie, która wykazała obecnie, że to zagadnienie jest niesłychanie ważne dla życia jak i obrony mieszkańców.

Usuwanie ludzi z ich ognisk domowych jest rzeczą niesłychanie trudną i b. skomplikowaną, należy więc zamiast usuwać — decentralizować ich ogniska.

Decentralizować miasta za wszelką cenę należy nie tylko z uwagi na doświadczenia obecnej wojny, ale i ze względów higieny, komunikacji, wyżywienia oraz uniknięcia tych wszystkich nienowoczesnych warunków życia, jakie siłą rzeczy narzucają olbrzymie nagromadzenia ludności w wielkich skupiskach. Obecnie żyjemy w warunkach średniowiecznego miasta, którego ludność, mimo najbardziej niezdrowych warunków życia, gromadziła się i dusiła za jego murami, gdyż strach przed nieprzyjacielem zmuszał ją do tego.

Gdy jednak armata pokazała, że mury obronne nie są dla niej przeszkodą — ludność je w szybkim tempie opuściła, udając się poza nie. I tu wojna, niszcząc, — stworzyła nowe warunki dla egzystencji miast.

Jesteśmy obecnie w nowym średniowiecznym mieście, którego wprawdzie już b. dawno nie bronią mury lub forty i fortece wokół porozmieszczone, ale zjawia się jeszcze potężniejszy nieprzyjaciel niż nim była armata — samolot.

Armata już rozluźniła zaciskające obręcze miasta — samolot żąda jeszcze bardziej większego luzu.

Jednak rozluźnienie miast w dotychczasowej formie, to znaczy centralnie się rozbudowujących, doprowadza nas do niemożliwości rozwiązania całego szeregu zagadnień miejskich, jak: komunikacji, bezpieczeństwa, szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, rozliczne komplikacje ruchu na skrzyżowaniach i t. d., i t. d. Należy więc rozluźnienie przeprowadzić w takiej formie, która by nam umożliwiła rozwiązanie tych wszystkich żywotnych zagadnień wielkiego miasta.

Fakt, że przy decentralizacji miasto rozciągnie się na olbrzymie przestrzenie wcale nas nie przeraża z uwagi na środki lokomocji, jakimi dysponujemy.

Należy więc wybrać formę takiego miasta, aby, umożliwiając z jednej strony najdalej posuniętą decentralizację, nie stwarzać trudności w przeprowadzeniu racjonalnej komunikacji.

Takim miastem — miastem komunikacji — miastem nowoczesnym będzie miasto wstęgowe. Miasto takie, rozkładując obecne skupiska, rozprowadzi je wstęgami po całym obszarze kraju. Nie trzeba będzie szukać i wybierać specjalnych miejsc, lecz umieszczając je wzdłuż istniejących szlaków komunikacji. Istniejące bowiem drogi podyktowane warunkami żywotnymi, najlepiej wskazują miejsce zainteresowań i potrzeb ekonomicznych.

W tak zdecentralizowanym mieście nikt nam nie będzie bronił wprowadzenia pewnej, z góry uplanowanej i przewidzianej centralizacji mieszkań, celem uzyskania jak najlepszych wyników ekonomicznych i zastosowania centralnie zdobytych technicznych.

Mamy tu na myśli budowę wzwyż, stawiając jej jedynie ograniczenie — to ilość metrów kwadratowych wolnej powierzchni terenu na jednego mieszkańca. Przy zachowaniu tej proporcji możemy być spokojni, że budowa najbardziej wielkich «drapaczy nieba», najbardziej olbrzymich bloków mieszkalnych nie zepsuje nam warunków zdrowotnych miasta wstęgowego i nigdy nie zagrozi zagęszczeniem miasta i nie postawi go

przed problemem przeludnienia i niemożliwości rozwoju. Nie postawi nas również przed zagadnieniem braku miejsca dla komunikacji w związku z rozrostem miasta. Gdyż zarówno rozwój miasta jak i komunikacji będzie jedynie przedłużeniem istniejącego stanu.

Centralizacja mieszkań przy zachowaniu procentowym ilości metrów kwadratowych wolnej przestrzeni, daje bardzo duże możliwości ekonomiczne i wprowadzenie najbardziej nowoczesnych zdobyczy technicznych, które dla małej ilości mieszkań stałyby się zbyt kosztownymi imprezami.

Rozwiązanie problemu miasta wstęgowego jest możliwe jedynie dzięki komunikacji. Będzie ona wszechwładna, jeśli racjonalność nowoczesnych środków lokomocji zdecyduje o żywotności i rozwoju miast. Szybkość komunikacji będzie więc zwiększać się z dnia na dzień; będzie ona akcelerować życie codzienne człowieka, sposób jego bycia i mieszkania. Wszystko będzie musiało być podporządkowane jej wymaganiom i usunięte to, co stanie na drodze ruchu.

Zagadnienie komunikacji będzie coraz bardziej dominować i ona to zadecyduje o nowoczesnym trybie życia współczesnego człowieka. Próżno by opierali się temu archeolodzy, konserwatyści i pseudo miłośnicyabytków i nawoływali do konserwowania i rozwijania przebrzmiałych haseł i idei.

Komunikacji wszystko będzie poświęcone, tak jak dziś wszystko jest poświęcone wojnie.

Nowoczesna architektura, to architektura uznająca w pełni komunikację i dostosowująca swą formę do warunków zapewniających jak najlepsze jej rezultaty. To architektura wolnej przestrzeni, swobody ruchu i możliwości osiągnięcia oddalonych celów drogą najprostszą i najkrótszą — drogą prostej linii.

Dlatego też «miasto wstęgowe» miasto linii będzie tym miastem przyszłości, bo idzie ono w myśl zasad nowoczesnej komunikacji, ma łatwe, szybkie i z góry wi a d o m e możliwości rozwojowe, daje swobodny rozwój komunikacji, niczym jej nie krępuje w postępie naprzód i rozwoju szybkości. Ba, nawet bezpieczeństwo przechodnia jest całkowicie rozwiązane.

Corbusier w swoim «Miście promienistym» rozwiązał całkowicie problem komunikacji pieszej, jak również i jej bezpieczeństwa, wznosząc nie tylko budynki, ale i jezdnie ponad poziom terenu.

W ten sam sposób zostało usunięte niebezpieczeństwo, czyhające na każdego przechodnia w mieście wstęgowym — niebezpieczeństwo, które będzie się wzmagało z każdym dniem w miarę rozwoju komunikacji w mieście dzisiejszym.

Wydźwignięcie budowli wzwyż, oddając całą przestrzeń parteru dla mieszkańca dla jego swobodnego poruszania się — daje również możność zwiększenia powierzchni zieleni, której przecież brak zawsze będziemy odczuwać w mieście.

Idea całkowitego uwolnienia powierzchni ziemi od wszelkich środków komunikacyjnych dla dobra piechura znajduje najwłaściwsze rozwiązanie w mieście wstęgowym, w którym środki komunikacyjne zgromadzone są na pasie o 250 m. szerokości są również częściowo wydźwignięte ponad powierzchnię ziemi.

Prowadzenie autostrad do poszczególnych bloków mieszkalnych (wg. Corbusier'a) wydaje się z góry skazane na zagładę, gdyż doprowadzi również do stworzenia całej sieci krzyżujących się (wprawdzie w dwóch poziomach) szos i dróg.

Chcę doprowadzenia autostrad bezpośrednio do blo-

ków mieszkalnych powodowana jest bezwątpienia skupiskiem ludzkim danych bloków mieszkalnych, jakie zakłada Corbusier. Ilość mieszkańców jednego bloku według niego może wynosić średnio 5 tysięcy ludzi.

Budowle wznoszone przy głównej arterii komunikacyjnej siłą rzeczy będą miały tendencję pięcia się w górę i pomieszczenia w sobie maksimum ludności lub biur i instytucji publicznych. Będą one najwyższymi budowlami w mieście i jako jedyne ograniczenie ich wysokości, to odpowiedni procent wolnej przestrzeni na jednego mieszkańca. Tutaj szczególnie bardzo ekonomiczne i wskazane będzie wprowadzenie wolnej przestrzeni pod całym blokiem budowlanym, gdyż podniesie nam ono zwiększenie procentu zabudowy.

Dalsze pasy, położone głębiej od głównej arterii, mogą być budowane odmiennie, chociaż rodzaj zabudowy na słupach w żadnym wypadku nie będzie gorszym od obecnego, odwrotnie — przyniesie jedynie więcej korzyści, wolnej przestrzeni i swobodę poruszania się. W ten sposób budując, możemy z całego terenu miejskiego stworzyć olbrzymi park bezpośrednio łączący się z sąsiadującymi z miastem wstęgowym łąkami, lasami i polami uprawnymi.

Przebudowując w ten sposób strukturę miast, unikniemy katastrofy życia w nich, będziemy mieli wyraźne oblicze nowoczesnej architektury i unikniemy kolizji z ciągle naprzód postępującą komunikacją i zabezpieczymy je od tak olbrzymich strat podczas następnej wojny.

Drugim czynnikiem, wywierającym olbrzymi wpływ na oblicze nowoczesnej architektury, to higiena i biologia życia codziennego.

Największym może dobrem, z życiowego punktu widzenia, to ten, że zarówno bodajże jak higiena i medycyna nie mają ani jednego momentu, któryby kolidował z postulatami nowoczesnej architektury. Odwrotnie — higiena i medycyna są tymi pierwszymi siostrami, które jeszcze w średniowieczu wspomagały architekturę i urbanistykę swoim stanowiskiem i doktrynami, które już wtedy nawoływały do stworzenia zdrowych warunków egzystencji dla ludności żyjącej w miastach.

Na nieszczęście nie są one tak silne i przemożne jak wojna i one również nie miały siły przełamać oporu konserwatystów i ekonomistów, dla których każda idea brana była pod pręgierz cyfr i ołówka, nie troszcząc się bynajmniej o zdrowie człowieka.

Aż nadchodzi moment, zwykle poprzedzony wojną, gdy wszystkie idee wyzwalają się z obręczy konserwatyzmu i ekonomii, a wyzwolone z ich uścisku, rozwijają się szybko, aby odrobić utracony czas.

I tu na polu nowoczesnej architektury, na polu przyszłej odbudowy, postulaty biologii, higieny i medycyny ściśle się wiążą i zazębiają z nowoczesną architekturą, wspierając się wzajemnie.

Nie bez racji będzie, jeśli powiemy, że nowoczesna architektura ściśle się wiąże z ogólnym, że się tak wyrazimy, spularyzowaniem cywilizacji i umiejętnością mieszkania.

Umieć mieszkać, umieć korzystać z dostarczonych przez technikę i postęp zdobyczy, to również zagadnienie ściśle wiążące się z nowoczesną odbudową.

Bo cóż nam z tego, że odbudujemy piękne mieszkania i wyposażymy je w najnowocześniejsze zdobyczy techniki, jeśli przyszły gospodarz jego nie będzie chciał, ani umiał się z nimi obchodzić? Cóż nam z zainstalowaną wanną, jeśli ona będzie służyć do prania bielizny lub do przechowywania przez długie miesiące karpi, które należy «podkarmić» aby były tłustiejsze! Cóż z

przewidywania miejsca na natrysk i instalowania go, jeśli ma ono służyć jako komórka do hodowania królików. Pocóż przewidywać łazienkę, jeśli będzie ona ogólną «graciarnią» i składem pak i waliz. Zaiste, wówczas ekonomiści będą mieli rację, jeśli podliczą włożony kapitał i zamiast zdrowia ludzkiego w rezultacie dostaną... tłuste karpie, utuczone króliki i gorsze niż w lepiance warunki higieniczne!

Wypadki takiego korzystania z wanien, natrysków i łazienek, pomijając już cały szereg faktów wandalizmu mieszkaniowego nie są wymysłem lub fantazją, to są fakty stwierdzone podczas okresowych oględzin mieszkań robotniczych i urzędniczych, budowanych w Polsce przez Zakłady Ubezpieczeń Społecznych.

Problem zaszczepienia w najszerszym ogóle kultury i umiejętności mieszkania, to również jeden z celów zarówno nowoczesnej architektury jak i odbudowy kraju. Problem o tyle ważny i doniosły, że chodzi tu o nauczanie, o spopularyzowanie, o przyzwyczajenie do nowych, a odzwyczajanie od przestarzałych, niehigienicznych i niezdrowych warunków bytowania.

Popularna i kwaśna odpowiedź, że «mój dziad i pra-

dziad tak żył i dobrze mu było»... nie powinna przejść przez usta dzisiejszego nowoczesnego człowieka.

Nawet poszedłbym dalej, twierdząc, że ten «dziad i pradziad» żył w pewnych wypadkach w bardziej higienicznych warunkach, bo dla królików miał oborę lub królikarnię, a dla ryb sadzawkę lub staw rybny.

Pozatem ilość ludzi «za pradziada» była wielokrotnie mniejszą (Polska za Jagiellonów liczyła 4 miliony ludności), a nie tak nie pogarsza warunków ogólnej egzystencji i higieny jak duże skupienia ludzkie.

Umieć mieszkać to wielka sztuka i niestety nie idzie ona w parze z postępem i techniką.

Nie jeden robotnik pracuje w fabryce w daleko lepszych warunkach zdrowotnych niż ma je w swojej «norze mieszkalnej».

Umieć mieszkać i korzystać ze zdobyczy technicznych, to należyście zamortyzować włożony w budownictwo kapitał, uzyskując b. wysoki procent w postaci ogólnej radości życia i zdrowia mieszkańców.

Tak jak trzeba się uczyć czytać i pisać, tak trzeba się również nauczyć mieszkać w nowoczesnym domu, aby poznać radość mieszkania w nim, radość życia i wypoczynku.

Prezes Rady Polonii Amerykańskiej we Francji

W ostatnich kilku tygodniach przebywał na terenie Europy p. Świątlik, prezes Rady Polonii Amerykańskiej.

Czym są skupienia i organizacje Polaków amerykańskich dla Polski o tym wie każde dziecko polskie.

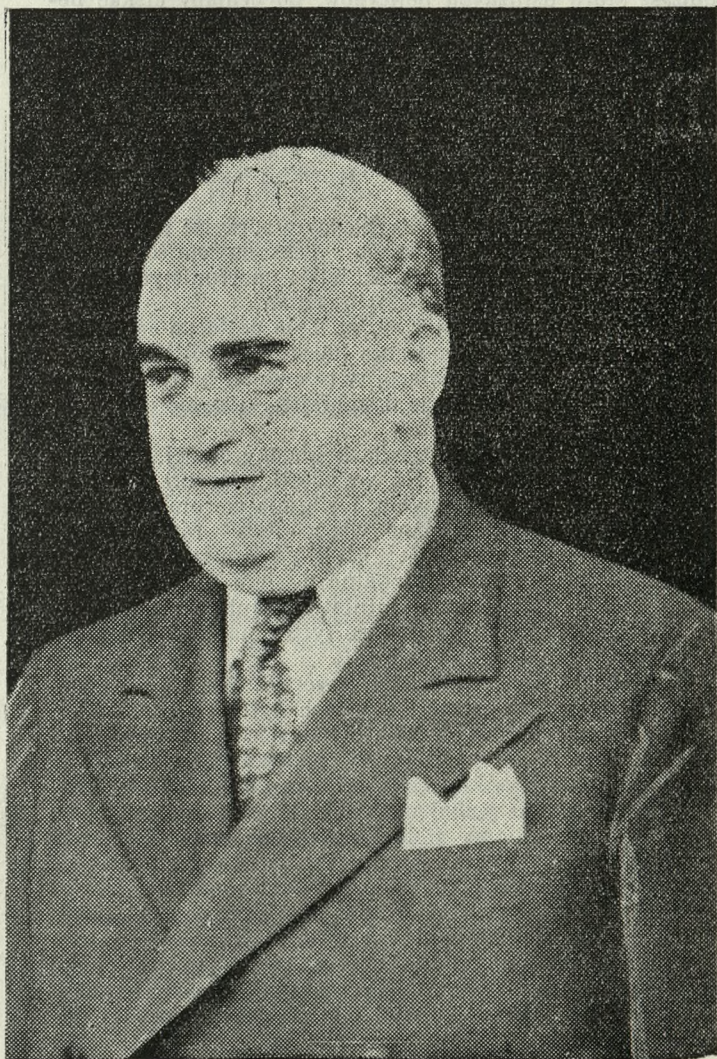
Więć łącząca ich z Polską, nierozzerwalna i silna, przejawia się głównie, gdy kraj nasz staje w najwyższej potrzebie. Tak było w latach 1914 — 1918, tak jest i obecnie od 1939 roku.

Polonia Amerykańska w zgodnym, zwartym wysiłku wzięła sobie za zadanie opiekę nad Polakami, potrzebującymi pomocy, gdziekolwiek się znajdują, w Polsce, czy w jakimkolwiek kraju na kuli ziemskiej. Pomoc ta jest olbrzymia, wszechstronna i skuteczna. Dotyczy zarówno strony materialnej jak i duchowej. Korzystają z niej wszystkie organizacje polskie, pracujące wśród wydziedziczonych, poniewieranych i gnębionych rzesz polskich.

P. Prezes Świątlik przyjechał do Europy dla dokładnego i osobistego wejrzenia w warunki, w jakich żyją polskie rzesze uchodźcze na obczyźnie: b. jeńców i deportowanych, przebywających do dziś dnia na terenie Niemiec, w wielkich obozach koncentracyjnych.

W celu zdania relacji Polonii w Ameryce p. Świątlik zwiedził wiele obozów w Niemczech i we Francji, oraz przeprowadził wiele rozmów z władzami alianckimi i polskimi, oraz z działaczami społecznymi. Wszędzie był przyjmowany uroczysto i serdecznie.

Polska YMCA we Francji wita jak najserdeczniej p. Świątlika który — utrzymując stały kontakt z naszym generalnym dyrektorem Pawłem Superem — przyczynił się w imieniu Rady Polonii w sposób b. wydatny do wzmożenia funduszy Polskiej YMCA we wszystkich krajach Europy, Azji i Afryki, gdziekolwiek się ona znajduje.



WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

«Swoboda działania jednostki» — to stare, liberalne hasło, panujące niemal niepodzielnie w kapitalistycznym świecie XIX wieku.

Niezależność jednostki, indywidualizm, swoboda człowieka w konkurencyjnej rywalizacji z człowiekiem, wolność polityczna i równość wobec prawa stworzyły ideał mieszczańskiej demokracji, realizowany przez takie potęgi światowe jak Stany Zjednoczone A. P., Anglia, Francja czy wreszcie weimarskie Niemcy.

Demokracja w życiu politycznym i liberalizm w gospodarce łączyły się nierozdzielnie, tworząc ustrój, mający dać szczęście społeczeństwu przez szczęście jednostki.

«Człowiek panem swego losu», «kowałem swego szczęścia», «swobodnym twórcą swej życiowej pozycji» — lubiono wówczas powtarzać, a znaczyć to miało:

«Wolno ci człowieku wszystko! Możesz wysoko zejść w hierarchii społecznej jeśli wykażesz się ostrymi pazurami w konkurencyjnym zmaganiu o pieniądze, stając się coraz bardziej panem ludzkości. Patrząc będzie na ciebie z podziwem cały świat, boś zdobył miliony, bo nimi uzależnić możesz od siebie tysiące innych ludzi, bo utrzymywać za nie możesz sforę usługowych polityków, bo ochłapy ciskać będziesz na cele dobroczynne lub stypendia dla kształcących się biedaków. Jednym procentem swych dochodów zdobędziesz miano dobroczyńcy ludzkości, boć przecież nikt nie śmie cię zapytać ile w twych milionach jest cudzego potu, ileś zdobył wyzyskiem i spekulacją!»

«Droga dla silnych» — mówiono, a skryte «pecunia non olet» zastępowano również rzymskim «audaces fortuna iuvat».

I słusznie! Śmiałym i bezwzględny sprzyjać musiał los! Odważnym w przedsięwzięciach, bezkompromisowym w walce, ugodowym z ludzką niskością i oportunistycznym w zewnętrznych formach współbywania.

A najłatwiej, najszybciej można było dojść do celu (czytaj: majątku) przez dogadzanie ludzkim słabostkom, przez kokietywanie resztek tkwiącej w człowieku bestii. I rosy zawrotnie fortuny większe i mniejsze, szerząc ideologię walki i użycia.

Trzaskać poczęły w władzłach kanony starej moralności, zastąpić ją miała teoria wolności jednostki i jej, od siebie samej zależnego szczęścia. I starano się omotać, oszłomić człowieka. Wmawiano weni: «jesteś równy wobec prawa, wolno ci wszystko». «Jeśli będziesz zdolnym i przedsiębiorczym możesz zostać posłem do wybranego przez siebie parlamentu, ministrem lub szefem państwa, możesz zdobyć najwyższe tytuły naukowe, możesz swym majątkiem olśnić świat».

I niejeden «szary człowiek» uwierzył. Słuchał z radosnym tklwym uśmiechem na ustach bajeczek o milionerach, co z pucebytów wyrósłi, o luksusie życia współczesnych krezusów, o zawrotnych politycznych karierach. Marzył o tym wszystkim i poddał sam dla siebie niewidocznie, w ołoczeniu podlegających jak on. Robił fantastyczne wysiłki o upragnione, złotem świecące szczęście. A gdy wszelkie usiłowania nie dawały rezultatu, rezygnował ze szczytów, urządzać się już tylko pragnął wygodnie, fałszywym uśmiechem, układną miną, oportunistem i słuźalczosćią zdobywając zaufanie możnych. Za znośną egzystencję, za możność uciutania drobnego kapitaliku stawiał się taki «szczęśliwiec» narzędziem wyzysku innych, bardziej bezwzględny, bardziej niehumaniczny niż było to wolą i potrzebą jego dobroczyńców i mocodawców.

A obok tego w ustroju «wolności» i «równości» żyły miliony ludzi, którym wolno było ofiarowywać za grosze swą pracę i którzy równi być mieli w swych złudzeniach i bezpłodności marzeń.

Ale żeby ich praca tańszą była i by trochę umniejszyć zasięg ich marzeń, istnieć winna ciągle pewna ilość ludzi bez pracy, utrzymywanych tylko przy życiu, aby w każdej chwili można było do nich sięgnąć i ich wykorzystać. Nazywano to zjawisko pięknie: rezerwowa armia pracy. Piękno nazwy bowiem pokrywać musi często ohydę treści.

Rosła kultura ogólna. Zakładano szkoły i instytucje naukowe, ale zakres nauki dostępnej dla najszerszych mas sięgał dotąd tylko — dokąd było to potrzebne trzęsącym światem potentatom. Coraz bardziej doskonalący się przemysł potrzebował coraz wyżej wykwalifikowanego robotnika. Nie więc dziwnego, że istnieć musi na tym odcinku pewien znaczniejszy wysiłek organizmów państwowych. Wyższe jednak rejony nauki, administracji publicznej i prywatnej, a praktycznie nawet i sztuki zastrzeżone są dla tych, co z racji posiadanych środków materialnych, a ściślej biorąc — pieniędzy i stosunków, łatwiej osiągnąć mogą wiedzę i stanowiska. Wystarczy wziąć do ręki jakikolwiek rocznik statystyczny aby stwierdzić, jak znikomy był we współczesnych państwach, głoszących «równość» i «wolność», procent dzieci proletariatu biedoty wiejskiej w wyższych zakładach naukowych i w szkolnictwie artystycznym.

Nie więc dziwnego, że przy poważniejszej dyskusji demokratyczną «równość» sprowadzano do wyższego hasła «równości wobec prawa». Rozumiano przez to jednakowe potraktowanie obywateli w kodeksach prawnych i, co najwyżej, w prawie politycznym. Posługiwano się w ten sposób fikcją mniej bijącą w oczy, choć również tylko i je dynie fikcją.

A «wolność» człowieka? Gdzie i w czym dopatrywać się jej mógł nędzarz bezrobotny, skłający o pracę lub jałmużnę? Często zaś zdemoralizowany długim brakiem pracy, żyjący z dobroczynnych zasiłków i przypadkowej kradzieży, spadał niżej ludzkiego poziomu, tracąc nie tylko pojęcie «wolności» ale i «człowieczeństwa».

Wolność polityczna nieraz stawała się fikcją wobec nacisku ekonomicznego i przepokstw, ale nawet i bez nich nie przestawała być urojeniem.

Jakże polityczną swoją opinię rzucać może na szalę człowiek, któremu warunki życiowe nie pozwoliły różnić się w skomplikowanym otaczającym go świecie? Stawał przed urną wyborczą z kartką w ręku otumaniony fantastycznym aparatem propagandy i ogłupiania, nie rozumiejący ani roli własnej w społeczeństwie ani istotnego sensu całej machiny politycznej i ekonomicznej. Jakże rzadko w tych warunkach mógł człowiek, w teorii równy i wolny, wypowiedzieć i sformułować to, co było jego prawdziwym dążeniem i prawdziwym interesem!

Fikcyjność i zakłamanie demokratycznych wolności nie mogły ująć uwagi bystrzejszych umysłów politycznych. I znów, zależne od społecznej pozycji takiego polityka, od jego ogólnego sposobu myślenia zależała droga, na którą chciał skierować losy demokratycznego świata.

Najłatwiejsza i najwcześniejsza była krytyka mieszczańskiej demokracji, jakiej nie żałowały burżuazji konserwatywne żywioły szlacheckie. Nie trudno było im udowodnić, że wielką ilość z francuskiej rewolucji wyniesionych zdobyczy politycznych jest jeno teoretyczną zdobyczą, że

w istocie służy tylko jednostkom oraz grupom silnym gospodarczo. I z krytyki tej wyciągali wnioski najprostszy i najbardziej absurdalny, ułatwiony przez ludzką i zrozumiałą w nas wszystkich tendencję upiększania przeszłości. Na tym tle, z umiłowania barwniejszych stron minionych czasów, z obserwacji barbarzyńskiej teraźniejszości, z obawy o ruinę resztek gospodarczych i kulturalnych przeżytków, do dziś jeszcze trwających, rodził się konserwatyzm. «Zachować» — oto jego hasło. Teoretycznie: zachować to wszystko co w przeszłości było dobre i wartościowe, utrzymać w teraźniejszości to co zdało egzamin. Na tym zaś gruncie dopiero powoli, powolutku, po wielorakich namysłach i próbach wprowadzić udoskonalenia, podstawę każdego działania widząc w umiłowaniu tradycji. To była teoria, a praktyka? Zadumani w świetlanej przeszłości spoglądać mamy na straszną, bolesną teraźniejszość z niebiańskim spokojem i wyniosłą pogodą wyższości.

Niech świat wije się w konwulsjach, niech mrą i karleją fizycznie i moralnie miliony ludzi — my z pogardą dla nieproporcjonalnych szaleńców będziemy czekać na wyniki laboratoryjnych studiów przyszłych, możliwie bez wstrząsów wprowadzanych, udoskaleń.

Czy można sobie wyobrazić podłejsze stanowisko? Gdyby ci ludzie, jeśli istotnie godni są tego miana, przejrzeni choćby na mgnienie oka, zawahali się czy wypada się im przyznawać do wyznawanych uprzednio haseł.

Z innych grup społecznych wychodziły inne głosy krytyczne, zgodne naogół w negacji, niezgodne w kreśleniu przyszłości. Inaczej do świata pieniądza odnosił się drobnomieszczański ciułacz, przerażony wciskającym się wszędzie przemysłem fabrycznym, inaczej inteligent pracujący, inaczej robotnik.

Faktem jest, że krytyka coraz poważniej podważała założenia podstawy ustroju rzekomej równości prawnej, urojonej swobody gospodarczej, fikcyjnej wolności politycznej. Coraz powszechniej rozumiano ustrój, oparty na władzy złota, na wyzysku, na gromadzeniu wszelkich narzędzi produkcji w rękach prywatnych, coraz mniej licznych, coraz drapieżniejszych.

Wstrząsać się poczęły fundamenty kapitalistycznych potęg, rozdziły się siły nowe, młode, rwące się do przebudowy i zmiany.

I w tych warunkach kapitalizm rezygnować zaczął ze

swych nadbudówek ideologicznych, z demokracji, wolności i swobody. W obronie głównych zrębów istniejącej struktury ekonomicznej, pod hasłem jej rzekomej przebudowy, powstawać zaczęły prądy nowe, ogólnie zwane faszystowskimi. Uświadamiana sobie coraz bardziej w masach istotna treść «demokracji», stanowiącej polityczną formę kapitalizmu, zastąpiono tu nowymi, równie zakłamanyimi hasłami. One to wraz z pewnymi, ale przez zniekształcenie pozornymi ustępstwami na rzecz żądań szerokich mas, mają utrzymać główne podstawy starego świata.

Nie znaczy to wcale, że dla kierujących światem kapitalistycznym faszyzm jest najwygodniejszą formą rządów. Uciekają się do niego, i tylko w ostateczności, organizmy słabsze, zagrożone na wewnątrz przez żywioły bardziej postępowe, na zewnątrz przez inne, równie imperialistyczne, bratnie potęgi.

Wygodniej, przyjemniej i bezpieczniej jest żyć decydującej plutokracji w atmosferze demokratycznych złudzeń. Nie w każdym jednak kraju może sobie ona na taki «dukus» pozwolić.

Wtedy gdy trzeba jej kłów i pazurów w dwufrontowej walce o swą pozycję, uciekać się musi do bardziej tyrańskich i brutalnych metod.

I tak złożyło się, że padła Polska w walce z zabobrycznym faszyzmem, sprzymierzona z konieczności z walczącymi z nim wielkimi demokracjami Zachodu. Jakże w tej spółce nasze miejsce? Czy walcząc o Polskę, o taką właśnie «demokrację» w naszym kraju walczymy, czy dalej pójsz pragniemy w dążeniu do doskonalenia i postępu ludzkości? Pięknego wyrazu «demokracja» nie postaramy się pogłębić i nadać mu prawdziwy sens, pozostawiając z niego to co słuszne i prawdziwe, odrzucając fałsz i zakłamanie?

Władzę ludu ma oznaczać demokracja. I nie rozstrzygając chwilowo jak ma lud tę władzę wykonywać, jak powoła swych pełnomocników, stwierdzimy stanowczo, że muszą oni działać tylko dla niego i zgodnie z jego interesem. Jeżeli demokracja ma mieć rację bytu musi przestać być ustrojem hołdu dla pieniądza i spekulacji. Dotychczas służyła głównie plutokracji i wyzyskowi — czas by stała się polityczną formą obrony i opieki najsłabszych mas ludzi pracy.

H. J. J.

MYŚLI

Nie dozna łaski zbawienia, kto się na miłości nie oprze. Miłość jedna nie działa marnie... promienna sama w sobie gasi zawiści, osłabia urazy, daje wszystkim spokój, łączy rozdzielonych, podnosi upadłych, gładzi nierówności, prostuje krzywizny, wspiera każdego, nie obraża nikogo... a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, znajduje się bezpiecznym i nie ulegnie się niczyjej groźby. Miłość tworzy prawa, a kto nią pogardzi, wszystko straci.

(Z aktu unii Horodelskiej z r. 1413).

Zdaje mi się, że Polska wtenczas silnie powstanie, kiedy na będzie przekonania, że bez wszelkiej obejdy się pomocy, — i wtenczas tylko znajdzie pomoc.

(Adam Mickiewicz).

Chodzi o to, aby naród nasz zrozumiał, że wolność to nie jest kaprys, że wolność nie znaczy: «mnie wszystko wolno, a drugiemu nic», że wolność, jeśli ma dać siłę, musi jednoczyć, musi łączyć, musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności, a nie tylko przy swoim jest upierać.

(Józef Piłsudski).

Wędrujemy tysiącami po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku... Mówcie sobie co się wam podoba, lecz jeśli chcemy użyć radości w swym kraju, odetchnąć jego spokojem, spojrzeć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystym sumieniem... Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce w ziemi, skąd czerpie życie i siły; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wspólną z życiem.

(Conrad Korzeniowski).

Do przewrotu wystarczy pchnąć bryłę w dół, wystarczy wywołać naturalne apetyty, a bryła ludzka sama toczyć się będzie, choćby w przepaść. Do budowy trzeba ciągłego wytyczania i dźwigania, przezorności, świadomości celu, umiejętności, energii i wytrwałości.

(Stan. Szczepanowski).

Polacy mimo męstwa naród płochy, wytrwałości nie ma, zabawę woli niż pracę, życie sobie niewiele ceni. Dać je w chwili zapału, poświęcić majątek — to u nich łatwo. Fantazji dużo, ale gdy się na słowa wyczerpie, do czynu ochoty i sił brak. Sekretu nie zachowa; mówić dużo lubi, czynić mało.

(Król Batory).

Rzeczpospolita

Mowa jest słodka jak miód i ostra jak miecz.
Kazano ludziom słowami jak wierszem rozkwitać.
Niech się odsuną ludzie i niech przemówi Rzecz
Wielka i Pospolita !

Chcemy kuć przyszłość prostą i zwykłą
bez wschodów i zachodów.

Gwiazdy nad nami wędną i kвітą,
są aniołami narodów.

Żaden anioł nie napoił nam oczu bezmiarem i szczęściem,
gdy nocą zboże wypadków szumiało w gwiazdy jak planty.
Były tylko usta nasze dzwoniące boleśnie.

My nie płaczemy jej, płaczemy nas, was i tamtych.

Od łez szczęśliwą, pachnącą sokiem żywicznym
złowi cię ludzie w czerwieni i biel spowitą.

W tobie jest ból i radość rzeczy niezwykłych i licznych
któraś jest sama Rzeczą Pospolitą.

Od ciebie to nas, tragicznych portów, miłość nieszczęsną pali,
na tobie rośnie soczyste zielony trawnik zdań.

Kto ziemię rozpogodził w widnokrąg i zawiesił w dali ?

Nie wiemy komu śpiewać i jaki wyśpiewać kraj.

Owinąć cię miłością jak rzecz pospolitą.

I nieść ostrożnie, jak rzecz niezwykłą

Któraś jest węglem i żyć,

któraś jest słońcem i igłą.

Mowa jest słodka jak miód i ostra jak miecz.
Kazano ludziom słowami jak wierszem rozkwitać.
Niech się odsuną ludzie i niech przemówi Rzecz
Wielka i Pospolita.

ZDZISŁAW KUNSTMAN.

Święto lasu

To było wczoraj —
biała krew na siekierach —
szubienice ciosali toporem —
Ktoś umierał.

Potem? trumny sosnowe, proste —
w trumnach serce czyjeś zamknięte..
Na cmentarzach wyrosły osty —
dziś jest święto.

Więc kłaniamy się krzyżom starym
na zapadłych zapomnianych mogiłach.
Szumią zielone sztandary
o tym, co było...

Szumią chorągwie zielone
modlitewny szelestny chorał
powstańcom w lesie uśpionym,
żołnierzom pochowanym w boru...

Dziś karabin wam nie zacięży
drzewcem z naszych ciał wyciosanym —
ku ni bu rośniemy potężnie
mocarnymi ramionami.

Dziś się pniemy wyżej i wyżej
wierzchołkami sięgamy nieba —
szubienic, trumien i krzyży
już nie potrzeba !

Burzy się modry Bałtyk,
tańczą spienione fale.

Cóż nam wichry, burze i szkwały ?
Płyniemy dalej !

Łopocze nad nami bandera
— Bywaj srebrzysta wodo !
nie żal nam dzisiaj umierać,
modrzewiom, dębom, i jodłom !

Dobrze jest szumieć drzewom
nad kwitnącym pszenicą łanem,
błogosławić wieczornym śpiewem
chatom drewnianym.

Dobrze jest z białych kapturów
patrzeć oczyma świętych,
rzeźbionym w drzewie obliczem
pogodnie uśmiechniętym...

Szumią sztandary zielone
modlitewny, szelestny chorał...
las ku słońcu wyciągnął ramiona;
czas zapomnieć, co było wczoraj...

WŁADYSŁAW SMOŁA

Niesiemy drzewom pozdrowienie

Płonął las podsycany żarem rannej zorzy —
chłonał chciwie blask ranka i głuchy stuk siekier.
Drzew sękatę ramiona bezradnie rozłożył
i giął dumne korony przed słabym człowiekiem...

I tak w żalosnym rytmie walczył się z łoskotem
drzewa — i czas żył chciwie pił zębami lasy.

Były puszcze, są lasy — lecz co będzie potem,
gdy ci, natry woję, wyginą przed czasem?

I dokąd się wyniosą gwarliwe gromady
skrzydlatych trubadurów z tej leśnej opery?

Kto będzie przy ognisku baśnię opowiadać,
gdy ostatnią pobudkę zagrają siekiery?

Gdzie zakwitną pierwiosnki, gdy u miedzi zrudziały
sąnie wiosna, witać cię ciętym deszczem?

Gdzie będą mroźne wichry giąć drzewa wspaniałe?

Gdzie będą wczesną wiosną przylaszczki niebieszczyć?

W tragicznej niepewności serce się łopocze,
czy — może — dzień jutrzejszy nie będzie ostatnim...

Wymknij się i, choćby pod osłoną nocy,
zanieśmy smutnym drzewom pozdrowienia bratnie...



W krainie zbrodni i śmierci

(Fragmenty - II)

IV

Wschód słońca był czerwony jak łuna. Ponad horyzontem była czerwień i cisza. Wierzchołki lasu wyrastającego na skraju naszego pejzażu nurzały się w ogniu. Jak groza otwierał się dzień. Wychodziliśmy z baraków i wzrok nasz tonął w kolorowym niebie. Tonął, bo przeszeń była nieznana i wielka.

Apel.

Przy apelu wyczytano kilkadziesiąt nazwisk. Sami Polacy. Między innymi młody pisarz Tadeusz Schultz.

Dzień przedtem Schultz rozmawiał ze mną i mówił:

Wiesz ja czuję, że nie przetrzymam obozu. Widzę jak droga się urywa i pustkę. U mnie w domu w Warszawie jest siostra ładna siedemnastoletnia dziewczyna, jest matka, która biedaczka całe życie pracowała, aby mnie wykształcić i oto teraz praca całego jej życia pójdzie na marne. Pójdź do mojego domu jak wrócisz i powiedz im coś o mnie, przeglądaj moje rękopisy, jeśli znajdziesz coś godnego uwagi — ogłoś. Ale nade wszystko cię proszę napisz o mnie, niech moje ambicje przynajmniej o tyle się urzeczywistnią, że ktoś wspomnienie pośmiertne o mnie napisze.

Otóż wywołano między innymi Tadeusza Schultza...

...Wieczorem, wracając z pracy, ujrzelśmy grupę więźniów (właśnie tych, których rano wywołano z szeregów), maszerującą w kierunku placu egzekucyjnego. Za nimi posuwał się miarowo i groźnie oddział esmanów w hełmach i z bagnietami na karabinach.

W czasie apelu była cisza, a w czasie tej ciszy słysząc było odgłos salw.

Ktoś zdaleka widział tę egzekucję.

Jeden młody chłopak, skazaniec, załamał się i zaczął płakać. Esman naszczuł psa na niego. Pies ugryzł go w nogę. Chłopiec zawył z bólu. Esman wyciągnął rewolwer i strzelił mu w głowę. Nikt inny, tylko właśnie Tadeusz Schultz krzyknął: «Jeszcze Polska nie zginęła!» Wtedy zaczęły się nieregularne strzały. Nawet nie czekano na rozbranie skazańców. (Zawsze przed rozstrzelaniem ściągano z delikwenta marynarkę i koszulę). I krew ich skropiła ziemię. Zginęli.

Tak codziennie przez miesiąc mniej więcej ginęło pięćdziesięciu Polaków.

Ale niecodziennie wschód słońca był tak czerwony jak w dniu pierwszej egzekucji. Niebo przyzwyczaiło się do śmierci bezbronych i do przemocy.

V

Któregoś dnia przybył na nasz blok ciekawy «zugang». Człowiek wysoki, błydy, o uduchowionej twarzy i o pospolitym nazwisku Cebula. Był tak wystraszony, że w przeciągu kilkunastodniowej egzystencji jego u nas nie można było z ust jego usłyszeć ani jednego logicznego zdania. A mimo to, w tym co robił, w jego postawie i postępowaniu znać było jakąś godność i powiedziałbym — tajemniczość. Był tak chory, że nie przyjmował już więcej pokarmów, był

tak niedołężny, że bez pomocy nie mógł wejść do łóżka. Mimo to musiał wychodzić do pracy, a pracował w kompanii karnej. Właściwie nie pracował, biło go tylko, był po prostu skazany na śmierć, na powolną śmierć od pobicia. Na jego ciele nie widać było ani jednego miejsca, które by nie było sine.

Któregoś dnia wyglądał jakgdyby wstąpiły w niego siły. Stał przed krzyczącym i bijącym go esmanem. Taki majestat bił z jego twarzy, że esman mimo woli umilkł a Cebula mówił.

— Żebyś wiedział, błaznie, jaki ty śmieszny jesteś w swoim podskakiwaniu i krzyku. I coż możesz uczynić? Tylko zabić. To potrafi każdy dureń. Lecz jest ktoś wyższy, kto sądzi czyny ludzkie. Jest ktoś, który zna sprawiedliwość. A wy wszyscy, wy jesteście prostymi mordercami, ludźmi bez charakteru i bez sensu. Wasz gniew i wasza złość to broń ludzi słabych, nie znających logiki ani elementarnej nawet etyki. Wy nas mordujecie, ale coż powiecie, gdy was będą mordować?

Cebula umilkł i chwiejnym krokiem poszedł w kierunku wartownika. Gdy przeszedł plac neutralny, wartownik parę razy strzelił. Ciało Cebuli zwinęło się w skurezu śmiertelnym. Umarł.

Nie dziwnego w tym, że umarł. Umierało wielu. Ale dziwne było to, co opowiadali więźniowie pracujący w krematorium.

Nawet po śmierci z jego postaci biła godność. Nawet po śmierci jego twarz zmuszała do oddawania czci. Robotnicy krematorium bali się po prostu chwycić w ręce jego ciało i wrzucić do pieca. Zdawało im się, że on coś mówi jeszcze, że rękami wymachuje tak jak gdyby błogosławił świat.

W końcu jednak został spalony jak wszyscy.

Gdy rok później opowiadałem o Cebuli jednemu z towarzyszy, młodemu klerykowi z zakonu Oblatów, odpowiedział:

— Ależ Cebula to nasz przeor, myśmy wszyscy wierzyli, że on jest święty!

VI

Wybrano nas na transport do Gusen (4 km. od Mauthausen). Każdy z nas wiedział, że w Gusen jest jeszcze gorzej niż w Mauthausen, że żyje się tam przeciętnie trzy miesiące, a później trzeba umierać. A więc wybrano nas na śmierć. W październiku roku 1941-go dwa tysiące więźniów zeszło z Mauthausen do Gusen (piszę zeszło, ponieważ Mauthausen było na górze, a Gusen w dolinie).

Nie trzeba było czekać trzech miesięcy, po trzech tygodniach mniej więcej zostało nas tylko dwudziestu. silniejszych, względnie takich, którzy mieli szczęście dostać lżejszą pracę.

Któż z was to zrozumie?

Ludzie wymierali szybciej niż muchy. Widać było młodych chłopców, powalanych kałem o opuchniętych jak banie nogach, konających na każdym rogu, w każdym kącie i przy każdej okazji.

Najszybciej ginęli ci, którzy mieli złote zęby. Tych niemieccy więźniowie starali się zgładzić szybko i potajemnie. Złoto naturalnie ginęło.

Nocami przy zastłoniętych oknach w oddzielnych pokojach, specjalnie dla Niemców zbudowanych, złoto zmienne na wódkę wlewali w swoje zbrodnicze gardziele.

Tak proszę Państwa. Tak! Obercapo z kamieniołomu potrafił na przykład zwołać wszystkich podległych mu Capów i oświadczyć :

— Dzisiaj potrzebuję czterdzieści porcyj chleba i czterdzieści racyj kiełbasy.

Czterdzieści ludzi w ten dzień ginęło. Wieczorem wnoszono z miejsca pracy do obozu czterdzieści trupów, a Obercapo fasował ich racje żywnościowe.

Obóz był szkołą, wspaniałą szkołą egoizmu i zbrodni.

Gdy w nocy ktoś wyszedł samotnie i w ciszy i ciemności został sam ze swoimi myślami, miał na pewno wrażenie, że z każdego metra kwadratowego tej ziemi powstają trupy i defilują przed oczami świata i krzyczą o kamieniach, o wojnie i o nienawiści.

VII

Czasami niedziela była wolna od pracy. Wtedy zazwyczaj na placu apelowym zbierała się orkiestra obozowa i odgrywała cały szereg utworów. Pewnie, nie była to muzyka doskonała, ale było to bezwątpienia coś obcego, coś niezmiernie dziwnego w tych warunkach. Pamiętam orkiestra odgrywała bodajże wiązaną pieśń polskich (orkiestra składała się z samych Polaków, a instrumenty przez przypadek najczęściej docierały do obozu. Otóż wielu było aresztowanych z instrumentami muzycznymi i stąd znalazły się w obozie). Naokoło grających tłum więźniów zstuchany i cichy.

Przedemną stał młody chłopiec. Spostrzegłem łzy ciekące po jego policzkach. W pewnym momencie chłopiec wyrwał się z tłumu i kilkadziesiąt metrów dalej przyłgął do drutów. Prąd zaczął targać ciałem chłopca i okropnym palącego się żywcem ciału unosił się ponad jego głową.

Taka śmierć z tęsknoty i bólu wewnętrznego nie była rzadkością. Prąd elektryczny był cały dzień i całą noc w żelaznych drutach kolezastych, które otaczały obóz.

VIII

Gusen było położone 5 klm. od Dunaju, przy szosie między miasteczkiem Mauthausen a San Georgen, w prowincji Oberdonau.

Obóz ten zaliczony był do trzeciej kategorii obozów, a więc najgorszej z pośród tych, które znajdowały się w Niemczech. Od strony północnej obozu wznosiły się kamienne góry z granitu i piaskowca, tu były kamieniołomy. Piekło. A raczej dno piekła.

Na początkach roku 1940-go nie było jeszcze ani kamieniołomów, ani obozu, w jednym miejscu był tylko odkryty granit. Tu był kamieniołom w czasie ostatniej wojny. Tu pracowali kiedyś i umierali Serbowie i Rosjanie.

W styczniu 1940-go roku przybył do Gusen pierwszy transport w liczbie 250. Byli to Niemcy, zawodowcy przestępcy, kryminaliści, karani wielokrotnie za kradzieże, morderstwa i rabunki. Oni zwozili materiał do budowy obozu. Oni wybudowali pierwsze dwa baraki. Potem przyszli Polacy. Niemcy zostali ich szefami, to jest kapami, Blokowymi. I wogóle to, że ktoś był Niemcem upo-

ważniało do tego, że czuł się w mocy bić i pogardzać wszystkimi, którzy mówili innym językiem.

Gdy przyszli Polacy, Niemcy przeprowadzili szczegółową rewizję; odbierano wszystko: fotografie, medaliki, pierścionki, jedzenie, słowem wszystko, co można było zabrać.

Co znaczy budowa obozu koncentracyjnego w Niemczech hitlerowskich, to wie dzisiaj już tylko niewielka ilość ludzi, bo tysiące, które budowały, poginęły w czasie swojej pracy. Ci ludzie ginęli mordowani, bici, głodni, ginęli wśród urągania niemieckich. Znało się powiedzenie Niemców :

— To Żydzi i Polacy, niech giną.

Ale nich mówią cyfry: Polaków do Gusen przybyło w roku 1940 około 10 tysięcy, po roku żyło około trzystu, a dzisiaj już niespełna stu. Reszty o budowaniu obozu można się domyślać.

Warunki higieniczne były fatalne, często nie było wody. Początkowo nie było łóżek, spano na siennikach, w których trzeba było z zapalką szukać słomy. A w końcu wskutek braku wody i wskutek niedostatecznego odżywiania wybuchła krwawa dysenteria. Po dwa, trzy miesiące nie zmieniano bielizny. Brud, wszy i głód, to była nasza codzienność.

Gdy staliśmy w grupie rozchodził się od nas smród dysenterii. I tak coraz bardziej słabnęliśmy, i tak towarzyszył nam śmierć.

Godziennie wzrastała śmiertelność.

Kto był słaby i nie mógł pracować, zostawał zamordowany.

W obozie rządziło bezprawie i o zażaleniach nie było mowy. Kto próbował się gdziekolwiek poskarżyć, był zamordowany. Często bez żadnych podstaw, po prostu dla szykany, musieliśmy stać przed barakiem na baczność przez dwie albo trzy godziny. I biada temu, kto się poruszył, a został zauważony. Doskakiwało do niego paru drabów i biło go do nieprzytomności.

Po każdym apelu na komendę : „Mützen ab!“ musieliśmy zrywać czapki z głów i znowu biada, jeśli jakiś chory albo słaby spóźnił się o parę sekund ze ściągnięciem czapki. Gdy został zauważony, cały obóz musiał przez godzinę albo dwie ćwiczyć się w zdejmowaniu czapek lub urządzono karne ćwiczenia. Musieliśmy biegać, padać, czołgać się, skakać i wszystko dlatego, że ktoś był chory, względnie słaby.

Poza tym zaznaczyć należy, że więźniowie Niemcy, którzy trudnili się rozdziałem żywności, okradali nas wszędzie, gdzie się tylko dało. Władze SS wiedziały o tym doskonale i tolerowały ten stan rzeczy, korzystając zresztą na tym, gdyż wchodzili w konszachty z niemieckimi więźniami.

Igiel ani nici nie dawano, mimo to wszystkie guziki musiały być przyszyte, wszystkie łaty pocerowane.

Gdy wody nie było, to właśnie wtedy robiono kontrolę czystości. Jeśli ktoś był brudny otrzymywał karę dwadzieścia pięć uderzeń bykowcem. Jeśli ktoś był obdarty — tak samo. Po takim pobiciu wielu umierało.

Często pijany komendant o polskim zresztą nazwisku, Chmielewski, przychodził w nocy do obozu w towarzystwie godnych siebie kompanów, esmanów i w towarzystwie ulubionego psa. Wskakiwali do baraków, trałowali śpiących więźniów, strzelali, szczuli psa, który zagryzał wszystkich, których popadł.

W połowie lipca 1940 roku jeden z towarzyszy uciekł. Wieczorem po apelu żaden z więźniów nie odszedł z placu apelowego. Cały obóz został na placu, aby na nim przepędzić noc. Komendant zwołał wszystkich Niemców, es-

manów i więźniów i rozkazał im bić i mordować wszystkich Polaków. Ubrojeni w pałki, uzbrojeni w złość i nienawiść, wpadli w szeregi Polaków i zaczęła się krwawa rzeź. Tej nocy kilkadziesiąt ludzi zabito, a ponad tysiąc odniosło ciężkie rany. Po tej nocy, bez jedzenia, cały obóz wyruszył normalnie do pracy.

Dnia 13-go sierpnia 1940 roku Chmielewski urządził zabawę dla Niemców-więźniów i esmanów. O godz. 9 rano wszyscy Niemcy z dragami, deskami, kijami, nożami porostawiani po całym obozie, a specjalnie w kamieniołomie, gdzie utworzyli szpaler, przez który musiało przejść około 3 tysiące Polaków, niosących na plecach ciężkie kamienie-głazy.

Wtedy zaczęły się krzyki: «Loos, schnell» i ciężkie razy spadły na plecy biedaków, a ci będący w drewnianych pantoflach nie mogli szybko biec. Przewracali się, co powodowało jeszcze większą wściekłość bandytów, którzy dusili, mordowali, podnieceni widokiem krwi wypływającej z ran. Ponad 100 ludzi poniosło śmierć. Wczorzym zamieciono ulice i znowu był spokój w obozie. Tylko śwąd z krematorium uderzał o nozdrza, a płomień buchał kilka metrów ponad wysoko sterczący komin.

Szefowie bloków i Capowie byli panami życia i śmierci. Bili i z obojętnością patrzyli na umierający powolną śmiercią głodową ogół. Oni zwabiali do siebie młodych chłopców i nocami odprawiali się zboczone orgie seksualne. Jeśli któryś z upatrzonych chłopców odmówił, ponosił śmierć, a jeśli się zgodził otrzymywał wszystko, co w obozie można było otrzymać: ubranie, jedzenie i lekką pracę. Wielu młodych, ulegając w walce o życie, zgadzało się, ale i wielu, którym godność osobista nie pozwalała się hańbić — umierało.

Zwycięstwa niemieckie załamywały niejednego. Wielu odbierało sobie życie, nie widząc nadziei końca męki i wolności. Ale był niejaki Lubomir Szopiński, ten opętany po prostu ideą pracy społecznej zaczął (ponieważ był muzykiem) organizować chór obozowy. Pamiętam pierwsze występy ukradkiem, robione gdzieś w kątach bloków. Były to melodie, z którymi się zrosła nasza młodość, melodie jakgdyby z duszy wyrwane, krakowskie, łowickie; ludowe. Z czasem chór nabierał coraz to większego rozmachu i zaczęto śpiewać oficjalnie, na co Niemcy zezwolili pod warunkiem, że będą śpiewane również pieśni niemieckie. Z chórem zaczęła się rodzić poezja. Było wśród nas paru poetów, z których na uwagę zasługują: Cwierk, Timofiejew i Wróblewski. Cwierk napisał cały szereg piosenek znanych przez wszystkich i śpiewanych przez wszystkich Polaków z Gusen.

A oto marsz, do którego muzykę ułożył Guziński, słowa Cwierka. Marsz został napisany w roku 1944.

*Już przebrzmiał grom
i świat swą zmianę twarz
Ojcowski dom
na powrót czeka nas
pójdziem w jasny dzień
z zapasem nowych sił
więc żegnaj nam
świecie kamiennych brył.*

Bez wątpienia przenosiły nas te wieczory artystyczne w inny świat i dodawały nam otuchy. I dodawały nam nadziei i wiary w przyszłość. Czuliśmy, że nastąpi godzina, w której pękną kajdany przemocy hitlerowskiej i przez świat znowu przejdzie radość i pokój. Ale to była poezja. Tymczasem rzeczywistość coraz ciężiej przysgniała nasze piersi i coraz więcej ludzi ginęło, a ci którzy zostawali byli coraz słabsi i coraz bliżej postępowali ku śmierci. Ciała nasze puchły, zwłaszcza nogi i twarze, a

plecy i brzuch pokrywały się wrzodami jęczącymi i bolesnymi. Codziennie do opatrunku sanitarnego zgłaszało się około tysiąc ludzi, a bandaży ani maści nie było. Ludzie chodzili z otwartymi ranami, a gdy zgłaszali się z prośbą o udzielenie jakiegokolwiek pomocy lekarskiej lub kilkudniowego zwolnienia od pracy, zlewano ich zimną wodą, bito kijami i wypędzono do pracy.

Pod wpływem głodu ludzie chodzili na śmietniska i zbierali opadki, liście, robaki, węgiel, zgniłe kartofle i jedli.

W styczniu 1941 roku przybyło do obozu 7000 Hiszpanów, przeciwników faszyzmu, którzy po klęsce armii republikańskiej uciekli do Francji, skąd przez Niemców zostali przewiezieni do obozów koncentracyjnych. Było zimno i mroźno, a czarnowłosi południowcy chodzili bez skarpet i w cieniotkich drelachach. Pracowali przy budowie młyna do kamieni. W przeciągu trzech miesięcy zginęło ich cztery tysiące.

W listopadzie tegoż roku komendant wybrał 1300 inwalidów niezdolnych do pracy. Oświadczone im, że pojedą do obozu wypoczynkowego, tymczasem auta, które ich zabrały, odwiozły ich do wielkiego krematorium w mieście Steyer. Po pewnym czasie komendant znowu wybrał inwalidów, ale tych już nie wywożono, zgrupowano ich na osobnych blokach, rozebrano ich do naga i nie dano jeść... Umarli śmiercią głodową. Przed śmiercią jeszcze musieli stać nago na mrozie, bez względu zresztą, na zmiany atmosferyczne. Tak wspaniale i precyzyjnie pracowali Niemcy. Gdy był większy mróz oblewano ich zimną wodą i tak kostnieli. Po paru tygodniach inwalidów nie było. Wybierano nowych.

Od tego czasu częścią składową obozu stały się bloki inwalidzkie. Kto wszedł na bloki inwalidów, był jak się łatwo domyśleć, skazany na śmierć, bo kto raz wszedł za druty oddzielające obóz od tego miejsca, które było miejscem największej krzywdy ludzkiej, wychodził tylko do krematorium. Przed blokiem leżała stale masa trupów i półtrupów poruszających się jeszcze, a już przeznaczonych do pieca. Gdyby ktoś z was mógł widzieć twarze tych ludzi... i oczy szkliste jak u masek woskowych, gdyby ktoś z was mógł słyszeć krzyki tych zgłodniałych i zmarzniętych stworzeń, zapewne by myślał, że to majak, bowiem tak było to okropne i nierzeczywiste. A gdy blokowy wydał rozkaz «Baden!» ci ludzie niewiedomo skąd czerpiąc energię wyskakiwali przez okna i biegli ku drutom, aby ponieść śmierć szybszą i skuteczniejszą. «Baden» to było powolne kostnienie i topienie pod prysznicami. Oni to znali. Oni widzieli już setki umierających w ten sposób. Woleli śmierć szybszą i łatwiejszą.

I nikt za nimi nie płakał, nikt o nich nie zapytał, wszyscy byli zajęci sobą i swoją egzystencją.

IX.

W dniu 1 stycznia 1942 roku urządzono dezynfekcję obozu. Był mróz dwudziestostopniowy. Rozebrano nas do naga i musieliśmy biegać po ulicach obozu, gdyż bloki były zamknięte, a w blokach był gaz trujący — kwas pruski. Dezynfekcja trwała 12 godzin. Po dwunastu godzinach, każdy musiał się zanurzyć w beczce zimnej wody zmieszanej z naftą. Masa ludzi się przeziębila. Kaszel, zapalenie płuc i gruźlica — to była nasza codzienność.

Po dezynfekcji obozu wstawiono do bloków łózka trzypiętrowe. Z jednej strony była to duża wygoda, lecz z drugiej strony więcej udręki, gdyż łózka musiały być ścielone starannie i równo jak stoły. Łózka to była nowa praca i nowy wysiłek, nowa strata energii. Kto źle pościelił

łóżko bywał bity lub karany ćwiczeniami, zatrzymaniem jedzenia, niejeden nawet przypłacił to życiem.

Pamiętam z początku 1942 roku przybył transport jeńców rosyjskich. Ich zamknięto w barakach odseparowanych od reszty obozu. Jako przełożonych postawiono nad nimi specjalnie wybranych i wypróbowanych już morderców. Nie dano im misek do jedzenia, tylko stare zardzewiałe puszki od konserw. Dawano im pół litra zupy dziennie i chleb wagi 1.500gr. na sześciu. Głodnych wypędzono do pracy w kamieniołomach, skąd wieczorem zwożono całe wozy zmarzniętych, nawpół żyjących. Przeważnie niezdolnych do pracy z pośród nich w noce gazowano, a nieraz od razu żywych jeszcze zwożono do krematorium.

Wstawaliśmy o godz. 4 rano. Po pościeleniu łóżek wygnano nas wszystkich przed baraki bez względu na pogodę. Śniadanie, obiady wydawano na dworze, wogóle całe dnie spędzaliśmy pod gołym niebem. Dawano nam trzy czwarte litra zupy, w której, obok stęchłej brukwi, względnie buraków pastewnych, znajdowały się zgnile, nieobierane kartofle. Nasza codzienność była ciężka i jednostajna. I trzeba było mieć wiele siły i optymizmu, aby nie szukać kojącej śmierci w otaczających nas drutach.

X.

Można być bohaterem przez chwilę, można być bohaterem w jakichś nagłych wyczynach, w szturmie, w jakiejś akcji ratunkowej i t. d., ale jakże ze śmiercią? Bohaterstwo w takich warunkach jest po prostu rzeczą nadludzką, a jednak byli bohaterowie.

W obozie teroru śmierci, w którym każdy dzień był męką; w obozie największej zbrodni i największego gwałtu przychodzili Niemcy do niektórych ludzi i mówili:

— Ty podpiszesz volksdeutsch-liste, ty przecież jesteś urodzony w Niemczech (Poznańskie, Pomorze, Śląsk). Ty jesteś Niemcem. I ludzie podpisywali, bo się bali nie podpisywać. Podpisywali, bo może się łudzili nadzieją zwolnienia. Podpisywali... Aż przyszła kolej na młodego technika nazwiskiem Drost.

Nie podpisał.

— Oni go zastrzelą — szeptano. Co on zrobił? Taki młody chłopak, dwadzieścia parę lat zaledwie.

Przyszedł apel wieczorny. Wszyscy myśleli o jednym: Drost.

I nagle Rapportführer zawołał:

— Drost!

Wśród nas zapanowała cisza, słychać było nasz oddech.

Wyszedł z szeregu błady i spokojny.

— I ty jesz chleb niemiecki a nie chcesz być Niemcem! — krzychał komendant, i wymierzył mu policzek. — Do szeregu. Jutro zobaczymy.

Całe szczęście, że właśnie był w budowie młyn do mielenia kamieni, do którego Drost tworzył projekty. Całe szczęście, bo firma, która budowała, wniosła reklamację do zarządu obozu i... młody technik został uratowany. On właśnie był bohaterem, on wyzwolił w reszcie Polaków sprzeciw i wolę. Za jego przykładem poszło więcej. Ale on był pierwszy i tego mu my, Polacy, którzy byliśmy w Gusen — nie zapomnimy.

STULECIE SPÓŁDZIELCZOŚCI

Sto lat temu 28 tkaczy roczdelskich założyło skromny sklep spółdzielczy na Toad Lane; organizacje spółdzielcze, działające na zasadach, które pionierzy ruchu spółdzielczego uznali za podstawę swego przedsięwzięcia, znajdujemy dziś na całym świecie.

Artykuł niniejszy kreśli wczesne początki i rozwój ruchu spółdzielczego w poszczególnych krajach, na przestrzeni stulecia 1844-1944. Niewiele z tych krajów osiągnęło wiek swej działalności.

Wyróżniając Roczdelską Spółdzielczość Spożywców, wymieniono tu również spółdzielczość rolniczą i kredytową, aby dać pełniejszy obraz stuletniego wysiłku spółdzielczego.

W miarę możliwości — podajemy tu dane statystyczne w odstępach dziesięcioletnich — lecz niekiedy używamy odmiennych okresów czasu albo ze względu na wyjątkowy rozwój, lub też zależnie od danych, które udało się zdobyć.

Niektóre kraje są tu pominięte bądź z przyczyny, iż dostępne materiały były zbyt niewystarczające, aby dać zadowalniający jasny obraz, bądź też — ponieważ ruch spółdzielczy w tych krajach ledwo się rozpoczął, bądź wreszcie ze względu na ramy artykułu.

Nie są włączone tereny kolonii, jak Cejlon, Malaje, Nigeria, Złote Wybrzeże, Afryka Północna, Cypr i Holenderskie Indie Wschodnie. — Spółdzielczość w koloniach jest ledwie w początkowym stadium lub też wogóle dotąd nie egzystuje.

Choć artykuł ten jest zaledwie naszkicowany w najkrótszym zarysie, fakty i liczby mówią o duchowej sile, kryjącej się poza nim — odzwierciedlają przeszłe zmagania i trudy, wielkość i sławę spółdzielczości. Mówią one istotnie o niedokończonej historii, historii, którą spółdzielcy, żyjący na całym świecie, kontynuują do dziś dnia. Im to właśnie ten szkic poświęcono.

Niechaj osiągnięcia, które są na tych kartkach odtworzone, będą dla spółdzielców wszystkich krajów zachętą w budowaniu spółdzielczej przyszłości.

WIELKĄ BRYTANIĄ

Aż do końca zeszłego stulecia wiele krajów w Europie było jakby «pustyniami» spółdzielczości wtedy, gdy w Anglii nowoczesny ruch spożywców, rozpoczął w 1844 r. przez 28 pionierów z Rochdale — w r. 1900 stanowił siłę zgromowaną w 1.439 spółdzielniach z 1,7 miliona członków.

Właściwie największy rozwój organizacyjny przypada na lata 1863 — 1872. Angielską i Szkocką Hurtownię Spółdzielczą założono w r. 1864 i 1868, Związek Spółdzielni w r. 1869, Ubezpieczeniową Spółdzielnię w r. 1867, Produkcja i Dział Bankowy Angielskiej Hurtowni Spółdzielczej — wszystkie one dzieje swego rozwoju łączą z tym dziesięcioletnim okresem.

Porównawcze dane statystyczne, uwzględniające spółdzielnie spożywców, są jednak osiągalne dopiero od r. 1881.

Rozwój Spółdzielni Spożywców.

Rok	Spółdz.	Członk.	Obrót (w mil. f. s.)
1881	971	547.212	15,4
1891	1.307	1.044.675	30,6
1901	1.438	1.793.167	52,8
1911	1.403	2.640.429	74,8
1921	1.352	4.548.557	218,8
1931	1.188	6.590.020	207,9
1941	1.059	8.773.255	302,2

Obroty handlu spółdzielczego w Wielkiej Brytanii wynoszą 35 funtów szterlingów przeciętnie na głowę.

W chwili obecnej ocenia się, że ruch spółdzielczy obsługuje około 12% ogólnego handlu żywnością i towarów pokrewnych całego kraju; w niektórych podstawowych artykułach stosunek ten jest znacznie wyższy, jak to przedstawiały liczby zapisów w spółdzielniach na artykuły racjonowane. W lipcu 1942 r. spółdzielnie zaopatrywały 27% cywilnej ludności w cukier i dżemy; 26% w masło, margarynę, tłuszcze, sery; 24% w bekon i mleko; 18% w jajka i 14,5% w mięso. Ruch spółdzielczy obejmuje również około 20% handlu węglem i około jednej trzeciej dostawy mleka dla ludności. Parę lat przed wojną sprzedaż chleba stanowiła 25% ogólnego spożycia chleba.

W lipcu 1943 r. spółdzielczość uzyskała 3,8 mil. nowych rejestracji na produkty, osiągając w ten sposób ogółem 82 miliony. Obecnie ogólne liczby dla poszczególnych artykułów wynoszą: cukier i przetwory owocowe — 11,6 mil.; masło, tłuszcze, margaryna — 11,4 mil.; sery — 11,3 mil.; bekon i szynka — 10,6 mil.; jajka — 7,8 mil.; mięso — 6,3 mil.

Liczby odnoszące się do Szkocji są jeszcze bardziej znaczące. Z wśród 4,7 mil. ludności — 1,9 mil. osób stanowią członkowie spółdzielni, a przeciętne zakupy w spółdzielniach wynoszą 53 funty na głowę. Ilość osób zarejestrowanych w szkockich sklepach spółdzielczych przewyższa również ogólną przeciętną dla całego ruchu spółdzielczego np. cukier 40 procent, masło 39 procent, bekon 34 procent, sery 39 procent. Obroty w szkockich spółdzielniach spożywców wzrosły z 34 mil. funtów w 1932 do 58 mil. funtów w 1942 r.

Angielska Hurtownia Spółdzielcza (C.W.S.), najstarsza hurtownia spółdzielcza spożywców na świecie obchodzi w tym roku swe osiemdziesięciolecie. W r. 1943/44 jej obrót wynosił 166,8 mil. funtów, w porównaniu do 82,8 mil. funtów w r. 1932 i 51,900 funtów w r. 1864.

Szkocka Hurtownia Spółdzielcza święciła swe 75-lecie w 1943 r. z najwyższym obrotem — 35 mil. funtów w porównaniu z 16 mil. funtów w 1932 r. i 81.094 w 1868 r.

Obie hurtownie posiadają znaczną liczbę różnorodnych zakładów wytwórczych i fabryk.

Połączona Angielsko - Szkocka Hurtownia Spółdzielcza założona w r. 1882 w celu objęcia zainteresowań obydwóch wyż. wym. hurtowni — w zakresie handlu herbatą, kawą, kakao, czekoladą i towarami kolonialnymi — posiadała w pierwszym roku swego istnienia obrót wynoszący 286 tys. 848 funtów, w r. 1933 — ponad 5,9 mil. funtów, a w r. 1943 więcej aniżeli 8,3 mil. funtów.

Równie imponujące są cyfry Spółdzielni Ubezpieczeniowej, której wpływy ze składek wynosiły blisko 12 mil. funtów.; Dział Bankowy Hurtowni Spółdzielczych osiągnął obrót 1.075 mil. funtów.

W. Brytania jest jednym z dwóch krajów (Francja jest drugim), który posiada ogólnokrajową Federację Robotniczych Spółdzielni Wytwórczych i Spółdzielni pracy. Około 1850 r. grupa chrześcijańskich socjalistów rozpoczęła tworzyć «samorządowe warsztaty» w Londynie i jego okolicach. Początkowe trudności zostały pokonane i spółdziel-

nie ich rozrosły się z 12 w 1883 r. do 70 w r. 1893 i 110 w r. 1904.

W r. 1882 powstała Federacja Spółdzielni Wytwórczych. Aż do roku 1931 nie wydano żadnych oficjalnych cyfr; odnoszących się do Robotniczych Spółdzielni Wytwórczych, choć istniało ich już wtedy 74. W r. 1941 Federacja Spółdzielni Wytwórczych obejmowała 40 największych i najważniejszych spółdzielni wytwórczych z 14.300 członków i rocznym obrotem 3,6 mil. funtów w stosunku do 43 spółdzielni z 15.000 członk. i obrotem rocznym 2,6 mil. funtów — w r. 1931.

Rolniczy ruch spółdzielczy rozpoczął się w r. 1889, gdy w Cumberland powstała dla zakupu nawozów sztucznych spółdzielnia «Aspatia» (która dotąd istnieje). Największy rozwój spółdzielni przypada na okres ożywionej działalności Angielskiej Organizacji Rolniczej (1900-1923). Odtąd Rolnicze Organizacje popierały rozwój ruchu spółdzielczego w Szkocji, Walii i Północnej Irlandii, lecz Angielskie Spółdzielnie (roln.) pozostawiono wyłącznie własnym siłom, z wyjątkiem pomocy w postaci ułatwień handlowych i bankowych, udzielanych przez Angielską Hurtownię Spółdzielczą, której członkami jest wiele z tych spółdzielni.

Rolniczy Ruch Spółdzielczy był zawsze najsilniejszy w zakresie rozprowadzania środków produkcji rolnej, jak: pasze, nawozy, nasiona, osiągające obecnie ogólną roczną kwotę obrotów 12 mil. funtów. W Północnej Irlandii mleczarnie spółdzielcze odgrywały poważną rolę, lecz istnienie ich zagrożone zostało rozwojem przemysłu skondensowanego mleka.

W marcu 1943 r. w samej Anglii było 196 Spółdzielni Rolniczych z 84.500 członków. Ich obroty osiągały 9,1 mil. funtów, a dostawy środków produkcji rolnej do 8,95 mil. funtów.

CZECHOSŁOWACJA

Na tle ogólnopolitycznych i narodowościowych stosunków spółdzielczość czechosłowacka rozwijała się w ramach odrębnych ruchów, związanych z poszczególnymi stronictwami politycznymi i grupami narodowościowymi.

Należy również pamiętać, że przed powstaniem Republiki Czechosłowackiej (co nastąpiło po pierwszej wojnie światowej) zachodnie jej prowincje jak: Czechy, Morawy i Śląsk były pod panowaniem Austrii, a wschodnie prowincje, jak Słowacja i Ruś Podkarpacka — pod panowaniem Węgier.

Pierwszą robotniczą spółdzielnię spożywców założono w 1854 r. w Tman (blisko Pragi), drugą — w 1861 w Staszowie. Dopiero po wojnie prusko-austriackiej (1866) ruch spółdzielczy zaczął zapuszczać wśród robotników głębsze korzenie. Spółdzielnia Spożywców w Pradze założona w 1868 r., mająca w pierwszym roku 3.000 członków, stała się ośrodkiem szybkiego rozwoju spółdzielczości, lecz wskutek braku doświadczenia handlowego upadła w 1875 roku, a z nią zniknęła całkowicie spółdzielczość spożywców, która liczyła 500 spółdzielni. Minęło blisko 20 lat zanim robotnicy Czech, Moraw i Śląska podjęli znów zakładanie spółdzielni, lecz tym razem zainteresowania ich skierowane zostały ku spółdzielniom wytwórczym, z których pierwsza powstała w 1896 r. Po tym powstawały spółdzielnie spożywców.

Po wydaniu przepisów praprzemyślnych (1903 r.) większość tych spółdzielni przyłączyła się do Austriackiego Związku Spółdzielni. Robotnicy czescy pragnęli jednak zachować niezależność. W r. 1908 i 1909 założyli oni własny Związek Spółdzielni i Hurtownię Spółdzielczą (Ústřední svaz československých družstev i Velkonakupní společnost družstev), które stopniowo z Austriackiego Związku przeciągnęły dwie trzecie czeskich członków.

W nowym Związku liczba spółdzielni z 30 w chwili zakładania związku — w r. 1914 wzrosła do 285 z 71.500 członków. W 1918 wszyscy pozostali w Austriackim Związku członkowie przeszli do nowego związku. Robotnicze Spółdzielnie niemieckie (Sudety) i polskie założone w 1919 oddzielny związek (Verband deutscher Wirtschaftsgenossenschaften), a poprzednio stworzony wydział hurtowni austriackiej, założony w 1895 r. przeorganizowano w niezależną instytucję G.E.C. Wytwórnię i Hurtownię Spółdzielni zarobkowo-gospodarczych (Produktions- und Großseinkaufsverband für Erwerbs- und Wirtschaftsvereinigungen), która, jak i związek czeski, posiadała swą Centralę w Pradze.

W dziedzinie spółdzielczości rolniczej pierwsze rolnicze spółdzielnie kredytowe (Stowarzyszenie wzajemnych oszczędności i pożyczek) powstały w początkach lat 60-ych. Nosiły one nazwę «Kampelicky» od nazwiska założyciela, dr. Kampelika. W r. 1873 istniało w Czechach 450 spółdzielni, a na Morawach i Śląsku 330. Spółdzielnie nie powstawały w prowincjach wschodnich, gdzie wciąż jeszcze istniała pańszczyzna.

W dziedzinie spółdzielczości rolniczej pierwsze rolnicze spółdzielnie kredytowego typu Raiffeisena. Równocześnie dr. Simacek popierał zakładanie miejskich i wiejskich spółdzielni kredytowych i banków pożyczek, opartych na wzorach Schulza - Delitzcha. Pierwszy czeski bank typu Raiffeisena powstał w r. 1890. Liczba spółdzielni wzrosła szybko. W r. 1901 istniało 1.490 spółdzielni; w 1920 — 3.820 w 1929 — 4.190; w 1935 — 5.360. Tworzyły one fundament dla spółdzielni rolniczych w Czechosłowacji, lecz właściwie podstawy rozszerzyły się w 1895 r. z chwilą powstania pierwszych 10 spółdzielni spożywców.

W r. 1935 istniało już 16.670 spółdzielni wszelkich typów, połączonych w oddzielne związki z ogólną liczbą 2.189.500 członków (w spółdzielniach rolniczych i kredytowych — 1.274.200 — w spółcz. spożywców — 915.300 członków).

W okresie pomiędzy dwiema wojnami światowymi dwa główne związki spółdzielni spożywców czeski i niemiecki musiały borykać się z olbrzymimi trudnościami. Już w pierwszych krokach odbudowy życia gospodarczego od 1919 r. do czerwca 1920 r. okres inflacji, po którym nadszedł równie ciężki okres deflacji. Kryzys gospodarczy z r. 1929-30 dotknął kraj szczególnie ciężko. Bezrobocie w r. 1932-36 ogarnęło 900.000 ludzi. Wszystkie te trudności wywarły poważny wpływ na spółdzielczość spożywców, lecz oba odłamy ruchu utrzymały się.

Rozwój czeskiego i niemieckiego Związku Spółdzielni spoż.

Rok	Spółcz.		Członk.		Obrót (w m. kor.)	
	Cz.	N.	Cz.	N.	Cz.	N.
1922	1.373	259	556.700	301.300	1.326	732
1929	1.043	176	443.200	231.900	1.343	587
1936	744	166	447.800	238.500	1.156	466
1937	740	162	491.200	231.300	1.320	496

Czeska Hurtownia Spółdzielcza w r. 1937 sprzedawała towarów wartości 860 mil. k. cz., a obrót Niemieckiej Hurtowni Spółdzielczej w tymże roku wyniósł 321 mil. k. cz.

Po zajęciu terytorium Sudetów, zgodnie z Monachijskim układem, wszystkie niemieckie spółdzielnie spożywców i ich centrale w Czechosłowacji zostały zlikwidowane.

Kiedy w marcu 1939 r. Czechy i Morawy stały się protektorem niemieckim, spółdzielnie spożywców zcentralizowano w jeden Związek Rewizyjny, w jedną Hurtownię i terytorialnie w jedno stowarzyszenie spółdzielcze dla poszczególnego miasta czy obwodu. W r. 1924 i 1943 wydano

dekrety o stworzeniu nowych centrali rolniczej, spożywców, budowlanej i kredytowej. Należenie do nich było obowiązkowe. Centrale te zostały podporządkowane różnym ministerstwom. W listopadzie 1942 r. mianowano dla spółdzielni spożywców kuratora, posiadającego władzę, która dotychczas należała do statutowych organów spółdzielni.

DANIA

Dania jest krajem, w którego gospodarce spółdzielczość odegrała olbrzymią rolę. Przyczyniła się ona niezmiernie do wysokiego poziomu wydajności i dobrobytu duńskiego rolnictwa, które opiera się na eksporcie wysokowartościowej produkcji rolniczej, a na przywozie ziarna, pasz, nawozów i surowców. Obecnie właściwie wszyscy farmerzy są zorganizowani na zasadach spółdzielczych zarówno w dziedzinie wytwórczości jak i spożycia: również w miastach spółdzielczość spożywców jest szeroko rozbudowana.

Przed rokiem 1882 spółdzielnie mleczarskie wogóle nie istniały. W 1937 było ich już 1.416 (łącznie z 11 spółdzielniami eksportu masła) z 190.000 członków. Spółdzielnie mleczarskie obejmowały ogółem 91% mleka, dostarczanego do mleczarni na terenie całego kraju, a 51,8% eksportu masła. W tym samym roku spółdzielcze wytwórnie bekonu założone w r. 1887 opanowały 84% uboju bydła we wszystkich rzeźniach eksportowych, a łącznie ze Spółdzielnią Eksportu Jaj (założoną w r. 1895), miały w swych rękach 25% eksportu jaj.

W roku 1899 założono spółdzielnię zakupu pasz. W r. 138 spółdzielnia ta zakupywała 67% całego krajowego spożycia, a Spółdzielnia Nawozów (założona w r. 1901) dostarczała 39,6 ogólnej konsumpcji.

Spółdzielnie spożywców wyprzedziły powstanie rolniczych spółdzielni farmerów (zakupu i zbytu). Pierwszą spółdzielnię, wzorowaną na roczdejskiej, założono w r. 1866 w Thisted w Jutlandii. Począwszy od lat 80-tych spółdzielnie spożywców rozwijały się szybko. W czasie, gdy w innych krajach w zakładaniu spółdzielni spożywców przewodziły warstwy robotnicze — w Danii przez długie lata spółdzielnie spożywców powstawały wyłącznie wśród ludności wiejskiej. Dopiero z początkiem dwudziestego stulecia robotnicy fabryczni, urzędnicy państwowi i inni zaczęli korzystać z dobrodziejstw spółdzielni spożywców.

Duńska Hurtownia Spółdzielcza w Kopenhadze (Faellesforeningen for Danmarks Brugsforeningen, F. D. B.) założona w 1896 r. obsługuje zarówno spółdzielnie rolnicze, jak i spółdzielnie spożywców oraz współpracuje ściśle z innymi spółdzielczymi działami Centrali Ruchu Farmer-skiego (De Samvirkende Dansko Andelsselskaber).

Spółdzielnie robotników przemysłowych, łączące 40 spółdzielni spożywców z 77.200 członkami i obrotem 33 mil. kr. (łącznie z Kopenhaską Spółdzielnią «Hovedstadens Brugsforening», największą w kraju z 33.600 członk. (są zrzeszone w Związku Spółdzielni (Det Kooperative Faellesforbund) w Kopenhadze, założonym w r. 1922.

Rozwój Spółdzielni Spożywców rolniczych i przemysłowych.

Rok	Spółcz.	Członk.	Det. obrót	Hurowy obrót
			(w mil. koron).	
1892	547	75.300	—	—
1908	1.191	169.100	—	41,1
1911	1.286	181.300	—	48,8
1921	1.799	336.400	—	174,6
1931	1.796	331.500	242,0	131,5
1939	1.901	402.000	361,5	216,2

W r. 1942 spółdzielnie spożywców posiadały 427.000 członków a obroty działu spożywczego w tym roku wynio-

stły 614 ml. kr. przy ogólnym obrocie całego ruchu spółdzielczego 2.202 mil.

Przed wojną spółdzielnie spożywców miały w swym ręku 30% detalicznego handlu warzywami, przyjmując 4 osoby na rodzinę, obsługiwały około 50% całej ludności.

W r. 1940 istniało 7.296 spółdzielni wszelkich rodzajów, włączając 1.390 mleczarskich z ogólną liczbą członków milion 896 tys. i obrotem 2.497.000.000 kr.

W czasie wojny w Danii jak i w Norwegii wzrosło zaufanie do ruchu spółdzielczego. Szczególnie odzwierciadla to rozwój Spółdzielni Kopenhaskiej, w której liczba członków w końcu 1942 r. wzrosła o 30%, liczba sklepów o 21, a obroty o 15% przy wzroście cen żywności o 5%.

F R A N C J A

We Francji spółdzielczość rozwijała się głównie w trzech dziedzinach: spożywców, rolniczej i robotniczo-wytwórczej.

Sławna francuska spółdzielnia spożywców w Lyonie (Commerce Veredique et Social), założona w 1835 r. przez Michel Derrion i Joseph Reynier, istniała krótko. Dopiero w drugiej połowie ub. stulecia pod wpływem Rochdale, stworzono trwałe podstawy dla rozwoju Spółdzielni Spożywców.

W r. 1869 było już 110 spółdzielczych sklepów i 30 spółdzielczych piekarni — na przełomie stulecia istniało 1.560 spółdz. spożywców z 454.700 czł., 250 robotniczych spółdz. wytwórczych i 2.500 syndykatów rolniczych. Francja przewodziła wszystkim innym krajom w organizowaniu produkcji przemysłowej w oparciu o robotnicze spółdzielnie wytwórcze.

W 1931 r. istniało ogółem 35.360 spółdzielni wszystkich rodzajów z 5,4 miliona członków, obejmujących 30.030 spółdzielni rolniczych z 2,9 mil. członków i 3.260 spółdzielni spożywców z 2,3 milj. członków.

Francuski ruch spożywczy w zaraniu swego istnienia był zorganizowany w dwóch związkach: pierwszy, założony w r. 1885 na pierwszym francuskim Kongresie Spółdzielczym w Paryżu, pozostawał pod wpływami sławnej szkoły z Nimes (drobnego zespołu entuzjastów spółdzielczości kierowanego przez profesora Charles Gide'a i Emila de Boye, którzy w instytucji rochdalejskiej upatrywali zarodek przyszłego porządku społecznego) — drugi — związek socjalistyczny, założony w Paryżu w r. 1900. Po 10-ciu latach dyskusji nastąpiło zjednoczenie na kongresie w Tours w 1912 r. Stworzono tam Federację Krapową Spółdzielni Spożywców (F.N.C.C. Federation National des Cooperatives de Consommation).

Pierwsza Hurtownia Spółdzielcza, założona w r. 1888 istniała tylko do r. 1895. Obecna Hurtownia Spółdzielcza (Magasin de Gros, M. d. G.) rozpoczęła działalność w 1907 r. przy skromnym obrocie 3,8 mil. fr. — w r. 1939 obrót jej wzrósł do 1,277 mil. fr.

Rozwój Spółdzielni Spożywców i piekarni spółdzielczych.

Rok	Spółdzielnie	Członkowie	Detaliczny obr. (w mil. franków)
1901	1.560	454.700	—
1911	2.870	799.200	262,5

Spółdzielnie Spożywców zrzeszone w F.N.C.C.

1922	1.940	1.399.000	—
1931	1.240	1.576.000	2,764,0
1937	1.010	2.454.000	2,996,3
1938	837	2.500.000	3,290,0

Wybitnym dowodem rozwoju francuskiej spółdzielczości

spożywców było powstanie 13 wielkich Spółdzielni Regionalnych. Większość z nich powstała w przemysłowych okręgach północnej i północno-wschodniej Francji. Przed wojną oceniano, że ruch spółdz. spożywców obejmował około 10% całej ludności.

Po upadku Paryża nowe ustawodawstwo gospodarcze i społeczne spowodowało daleko sięgające zmiany w strukturze francuskiego ruchu spółdzielczego. F. N. C. C. i M. d. G. łączone w jedną organizację pod nazwą Centralnego Komitetu Reorganizacyjnego (Comite Cooperatif Central de Reorganisation C.C.R.).

Przy okazji przeprowadzania tych drastycznych zmian usunęło trzech znanych przywódców spółdzielczych. Nowo utworzone Kierownictwo pozostało jednak w rękach jednego z trzech sekretarzy generalnych F.N.C.C., dyrektora M. de G. dyrektora Związku Rewizyjnego.

Robotnicze spółdzielnie wytwórcze były zorganizowane w «Chambre Consultative des Associations Ouvrieres de Production» (1884 r.). Przed wojną istniało 400 — 500 spółdzielni z 33.000 członków: więcej niż połowa członków zatrudniona była w budownictwie i robotach publicznych.

Francuskie spółdzielnie rolnicze są bardzo różnorodne. Ocenia się, że około 80% farmerów i wieśniaków francuskich należy do organizacji spółdzielczych. Ich centralna organizacja pod nazwą «Federation Nationale de la Mutualite et de la Cooperation Agricoles» powstała w r. 1910. «Syndykaty» — zawodowe rolnicze stowarzyszenia — w liczbie około 20.000 z 1,5 miliona członków, działające na podstawie specjalnego prawa z r. 1884, spełniają przeważnie zadania organizacji zakupu, podczas gdy specjalne spółdzielnie, działające na podstawie prawa o rolniczej spółdzielczości, zniwelizowanego i skodyfikowanego w r. 1938, zajmują się zbytem rolniczych wytworów, jak: zboża, produkty mleczarskie, wina, olejów jadalnych i t. d. — 1.500 spółdzielni producentów pszenicy dostarczało ok. 80% pszenicy w r. 1939, a 2.500 spółdzielni mleczarskich dostarczało 20% spożycia krajowego wytworów mleczarskich. Produkcja 800 spółdzielni kredytowych w liczbie około 6000 z 450.000 członk. jest ściśle związana z rolniczą polityką kredytową rządu. Ich centralna organizacja «Caisse Nationale de Credit Agricole» jest instytucją prawa publicznego wyposażoną w autonomię finansową.

P O L S K A

Pierwsze usiłowania zmiany życia gospodarczego w Polsce w oparciu o zasady solidarności i samopomocy — pojawiają się na początku 19 stulecia, lecz sytuacja polityczno-gospodarcza, która trwała przez całe stulecie oraz rozbiór kraju przez trzy ościennie potęgi — stanowiły ogromną przeszkodę w rozwoju spółdzielczości.

W zaborze rosyjskim powstawały przeważnie spółdzielnie spożywców, natomiast pod zaborem niemieckim spółdzielnie rolnicze i kredytowe typu Szalca Dolitzscha — pod austriackim — spółdzielnie rolnicze typu Raiffeisena. Wśród pierwszych spółdzielni spożywców, założonych w r. 1869 pod wpływami Rochdale spółdzielnie w Warszawie, Płocku i Radomiu; skupiały one razem 1.600 członków.

Rewolucja rosyjska w r. 1904 — 1905, gdy Polacy zdobyli pewne prawa i swobodę działania, stała się chwilą przełomową w polskim ruchu spółdzielczym. W r. 1906 powstało w Warszawie Towarzystwo Kooperatystów i pojawił się pierwszy numer pisma «Społem». W r. 1908 istniało już pod zaborem rosyjskim 670 spółdzielni różnych rodzajów z 66.000 członków. W trzy lata później powstał Warszawski Związek Spółdz. Spożywców «Społem», obejmujący 180 spółdzielni z 21.000 członk. Działał on również jako Hurtownia Spółdzielcza.

W czasie pierwszej wojny światowej spółdzielczość przeżyła ciężką próbę i wiele stowarzyszeń spółdzielczych całkowicie znikło.

W 1919 r., kiedy Polska zjednoczyła się i odzyskała niepodległość Warszawski Związek Spółdzielni Spożywców przeistoczył się w Związek i Hurtownię Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej «Społem».

Na początku 1921 r. istniało 1750 spółdzielni z 891.000 członków zorganizowanych w 7 odrębnych związkach. Do r. 1931 liczby te wzrosły do 22.600 spółdz. z 2.073.300 członków. W ciągu następnych 6 lat liczba spółdzielni zmniejszyła się do 12.000, lecz liczba członków wzrosła do 3 mil. 16 tys. Z liczby tej 5.000 spółdzielni z 1,7 mil. członków stworzyło Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie.

Rozwój spółdzielni spożywców zrzeszonych w «Społem»

Rok	Spółdzielnie	Członkowie	Obrót detal. (w milj. zł.)
1911	178	21.600	14,5
1913	274	36.900	22,3
1924	704	350.200	78,5
1931	794	339.200	145,7
1938	1.880	395.630	170,0

W r. 1938 obrót Hurtowni «Społem» wyniósł 98 milj. złotych.

Ludność ukraińska we wschodniej Polsce posiadała odrębny ruch spółdzielczy, który zapoczątkowano w ostatnim dziesięciu lat ubiegłego stulecia. Początkowo przeważały w nim spółdzielnie kredytowe, lecz następnie powstały i inne.

W r. 1904 we Lwowie założono Związek Rewizyjny Spółdzielni Ukraińskich (Rewizyjny Sojuz Ukraińskich Kooperatyw), a ruch spółdzielczy z wyjątkiem ostatniej wojny, kiedy poniósł poważne straty — stale się rozwijał. Związek obejmował 3.455 spółdzielni z 643 tys. członków, dwie trzecie były to rolnicze spółdzielnie spożywców oraz zakupu i zbytu, pozostałe były spółdzielniami mleczarskimi, kredytowymi i inne.

Spółdzielnie kredytowe są zrzeszone w Centralny Ukraiński Bank Spółdzielczy («Centrobank» — Krajowy Sojuz Kredytowy), a spółdzielnie handlowe różnego rodzaju mają swoje odrębne hurtownie spółdzielcze «Narodna Torhownia» — dla spółdzielni spożywców, «Centrosojuz» — dla spółdzielni rolniczo-handlowych i «Masłosojuz» — dla spółdzielni mleczarskich.

W r. 1938 ogólny obrót tych hurtowni osiągnął kwotę 50 milj. złotych.

Wśród żydowskiej ludności w Polsce już w końcu 19 stulecia powstawały spółdzielnie rzemieślnicze, rolnicze i kredytowe, lecz dopiero w ostatnich latach niepodległości Polski rozwinęły się spółdzielnie spożywców. Najbardziej udaną dziedzina żydowskiej spółdzielczości stanowiły spółdzielnie mieszkaniowe, które w ostatnich latach przed wojną wybudowały dla klasy pracującej liczne bloki z nowoczesnymi mieszkaniami.

Choć żydowskie spółdzielnie spożywców były zrzeszone w Związku Robotniczych Spółdzielni Spożywców — spółdzielczość żydowska stanowiła część ogólnokrajowego ruchu spółdzielczego.

Mniejszość niemiecka posiadała również swe własne spółdzielnie, przeważnie rolnicze i kredytowe.

ROSJA — Z.S.S.R.

W Rosji powstanie spółdzielczości w postaci t. zw. «Arteli» czyli stowarzyszeń rzemieślników, rybaków i wieś-

niaków — dla wspólnego wykonywania pewnych robót — sięga wieków średnich. Pierwsza nowoczesna spółdzielnia spożywców powstała w r. 1865 w Rydze, a pierwsza spółdzielnia kredytowa — w Dorowatowie w r. 1866, lecz prawdziwy rozwój rozpoczął się dopiero po klęsce głodu w r. 1891, w następstwie zmiany wrogiego stanowiska rządu, który uważał ruch spółdzielczy za niebezpieczny eksperyment polityczny. W r. 1898 założono Moskiewski Związek i Hurtownię Spółdzielni Spożywców. W r. 1917 przemianowano go na Wszechrosyjski Centralny Związek Spółdzielni Spożywców «Centrosojuz»; w r. 1928 «Centrosojuz» został rozdzielony na: Centralny Związek Spół. Spożywców Z.S.S.R. i Centralny Związek Spółdz. Spoż. R.S.F.S.R. W r. 1930 oba te Związki zostały objęte przez Centralny Związek Spółdz. Spożywców Z.S.S.R. i R.S.F.S.R. i «Centrosojuz».

Pierwsza rewolucja rosyjska z r. 1905 zapoczątkowała szybki rozwój spółdzielczości. W tymże roku ogólna liczba spółdzielni wszelkich rodzajów osiągnęła 5.700 wzrastając do dnia 1 stycznia 1908 do 11.300 z 2,8 milj. członków. Z pośród nich 3.500 z 550.000 członków były to spółdzielnie spożywców, 6.000 spółdzielni z 2 milj. członków — kredytowe, 2.500 spółdz. z 290 tys. członków — wiejskie zakupu, zbytu i wytwórcze oraz 300 miejskich spółdzielni wytwórczych (liczba członków nieznana).

W r. 1914 ogólna liczba spółdzielni wynosiła 33 tys., obejmowały one 12 tys. spółdzielni spoż. z 2 milj. członków i 14 tys. spółdzielni kredytowych z 8 milj. członków.

Rozwój, doświadczenia i zasadnicze przemiany rosyjskiego ruchu spółdzielczego w czasie i po pierwszej wojnie światowej, podajemy tu tylko w najszerszym zarysie.

W r. 1917 wydano dekret o obowiązkowych spółdzielniach spożywców, ale nie wszedł on w życie aż do r. 1919.

W ramach polityki gospodarczej (NEP w 1921 r.) zasada przymusowego należenia wszystkich obywateli do spółdzielni spożywców była utrzymana w mocy, lecz pozwolono na zakładanie dobrowolnych spółdzielni, a w końcu 1923 r. zasadę dobrowolności w spółdzielczości w pewnej mierze przywrócono.

Rok 1930 stał się nowym punktem zwrotnym w historii sowieckiego ruchu spożywców. Organizacje spółdzielcze zastępowano stopniowo przedsiębiorstwami państwowymi. Punktem kulminacyjnym był dekret z września 1935 r., który zarządził likwidację wszystkich spółdzielni spożywców i przekazanie wszystkich ich czynności i aktywów Ludowemu Komisariatowi Handlu Wewnętrznego. Dekret nie dotyczył wiejskich Spółdzielni Spożywców.

Rozwój Spółdzielni Spożywców.

Rok	Spółdzielnie	Członkowie	Obrót detal. (w milj. Rb.)
1907	3.500	550.000	—
1914	11.400	1.650.000	290
1919	53.000	18.500.000	—
1924	21.700	7.105.000	1.060
1931	44.000	71.898.000	17.760
1935	25.300	40.837.000	15.420
1938	24.000	37.000.000	35.950
1940	28.000	36.000.000	43.000

(25% ogólnego handlu wewnętrznego).

W Z.S.S.R. rolnictwo jest zorganizowane w powszechnie znane gospodarstwa zbiorowe — kołchozy —, których istnieje 243.000 z 19 milj. członków. W przybliżeniu 99% ornej ziemi uprawiane były przed wojną przez gospodarstwa kolektywne.

Inne istniejące tam rodzaje spółdzielni obejmują 12.230 spółdzielni rzemieślniczych z 1.642.000 członków zorganizowanych w 412 federacjach i w jedną Wszechrosyjską Radę; 2320 inwalidzkich spółdzielni wytwórczych z 240.300

członk., 3900 spółdzielni leśnych z 371.000 członków i 1000 zbiorowych organizacji rybackich z 150.000 członków.

STANY ZJEDNOCZONE

Spółdzielczość w Ameryce ma już swą stuletnią historię, lecz nie rozwijała się w sposób ciągły, jak to się działo w Europie, a właściwie w ostatnich dopiero latach rozwijała się szybko.

W r. 1845 Związek Ochrony Ludzi Pracy założył w Bostonie swój pierwszy sklep spółdzielczy. W r. 1853 Amerykański Związek Ochrony, rywalizujący z poprzednim rozpoczął popierać rozwój innych spółdzielni i w 1870 r. istniało już około 700 sklepów spółdzielczych. Nieliczne tylko z nich wszakże przetrwały amerykańską wojnę domową.

W pierwszych latach po owej wojnie farmerzy, którzy cierpieli dotkliwie wskutek panującego wówczas kryzysu w rolnictwie, rozpoczęli starania o stworzenie ruchu spółdzielczego. Założone spółdzielnie nazywali «Granges» (folwarki). Działalność ich w ciągu paru lat osiągnęła znakomite powodzenie. W roku 1873 istniało 21 tys. lokalnych spółdzielni, lecz w ostatnim ćwierćwieczu większość z nich upadła. Pierwsze spółdzielnie, oparte na zasadach rozdzielczych pojawiły się w roku 1874 z inicjatywy tajnej organizacji «Władców Przemysłu». W ciągu trzech lat założono 94 spółdzielnie, lecz w 1880 roku zarówno spółdzielnie, jak i tajna organizacja zakończyły swe istnienie.

W latach 80-tych pierwszy Amerykański Związek Przemysłowy znany jako «Szlachetny Zakon Rycerzy Pracy», który zawdzięcza swoje powstanie Chrześcijańskim Socjalistom Angielskim, stworzył około 100 spółdzielni wytwórczych, z których część działała również jako sklepy spożywcze. Ruch ten trwał około 10 lat.

W tym okresie czyniono inne, mniej poważne i mniej udane próby, lecz dopiero na przełomie stulecia wysiłki emigrantów fińskich i czeskich osiągnęły w tej dziedzinie znaczniejsze i pomysłowe wyniki. W ciągu dwóch pierwszych dziesiętków lat obecnego stulecia rodzimi Amerykanie również usiłowali stworzyć ruch spółdzielczy, lecz tak jak i poprzednikom nie powiodło się im. Jedna spółdzielnia, t zw. «Amerykański Plan Roczny» była planowana jako budowa — ze szczytu w dół — poprzez hurtownię spółdzielczą — do lokalnych sklepów spółdzielczych.

Dopiero po pierwszej wojnie światowej, spółdzielnie rocdelskie zaczęły się pomyślnie rozwijać. W roku 1921 w Cottonwood w St. Minnesota farmerzy założyli spółdzielnię naftową. W roku 1933 8 spółdzielczych hurtowni, zainteresowanych paliwem dla pojazdów mechanicznych, utworzyło w Chicago Krajową Spółdzielczą Centralę Zakupów. Stopniowo wśród farmerów rozwinęło się zainteresowanie spółdzielniami, stawali się oni ich członkami, a liczba stacyj benzynowych i sklepów wzrastała. Wprawdzie nazywały się one spółdzielniami spożywców, nie były jednak odpowiednikami spółdzielni spożywców w W. Brytanii i krajach Zach. Europy, choć wiele z nich rozszerzyło swą działalność na sprzedaż towarów kolonialnych i artykułów gospodarstwa domowego. Aż poza okres światowego kryzysu gospodarczego w roku 1929 ruch spółdzielczy w miastach rozwijał się powoli. W roku 1916 założono w Nowym Yorku spółdzielczą Ligę Stanów Zjednoczonych dla popierania spółdzielczości rocdelskiej i rozwoju współpracy krajowego ruchu spółdzielczego. W roku 1918 do Ligi należało blisko 100 spółdzielni, lecz w ciągu następnych 6 lat liczba zrzeszonych wzrosła do 330 stowarzyszeń spółdzielczych, liczących 50 tysięcy członków. Do 1934 roku Liga posiadała 450 stowarzyszeń-członków, a 165 spółdzielni z 1,1 milj. członków; w r. 1942 większość stanowiły rolnicze spółdzielnie spożywców.

Jednym z pośród wielu ciekawych rysów amerykańskie-

go ruchu jest 25 regionalnych hurtowni spółdzielczych, działających w różnych stanach. 14 z nich należy do Krajowych Spółdzielni, do których należą również 2 kanadyjskie hurtownie. W ciągu ostatnich 5 lat organizacje regionalne potrojiły swój obrót. W roku 1939 stanowił on wartość 48,8 milj. dolarów, a w 1943 r. 123 milj. dolarów. Ocenia się, że liczba organizacji spółdzielczych, włączając w to stacje gazoliny i spółdzielnie zaopatrzenia farm, wynosi 7.500. Ruch spółdzielczy obejmuje 2,5 milj. rodzin, a 3 z pośród każdych 5 farmerów jest związanych z jakąś formą ruchu spółdzielczego.

Ogólna liczba 10.450 spółdzielni zakupu i zbytu z 3,8 milj. członk. dysponuje rocznie towarami wartości 3.780 milj. dolarów. Inne poważne grupy to 850 wiejskich spółdzielni elektryfikacyjnych z 1,2 milj. członków, 10.000 związków kredytowych z 3,1 milj. członków, 5.000 spółdzielni telefonicznych i 20.000 spółdzielni ubezpieczeniowych z 330.000 członków.

Do organizacji spółdzielczych należy ponad 100 młynów, fabryk, rafineryj i innych przedsiębiorstw wytwórczych. Prócz tego należy również 280 szybów naftowych i 1270 milj. rurociągów, które obsługują rafinerie. Nabycie rafinerii nafty w Coffeyville z 269 szybami i 768 milami rurociągu stanowi poważny krok w kierunku rozszerzenia wytwórczości spółdzielczej.

Spółdzielcze Stowarzyszenia spożywców w N. Kansas City MO., cieszy się sławą światową z powodu odważnego «wkroczenia» do przemysłu naftowego. Ostatnio nakreśliło ono ambitne plany przyszłego rozwoju, opartego na międzynarodowych podstawach.

Ocenia się, że spółdzielcze organizacje rolniczo-handlowe dysponują ponad 25% żywności rynkowej w Ameryce, a ich udział w transporcie Lend-Lease'u stanowi w przybliżeniu 33%.

Liczba członków Spółdzielni Spożywców w stosunku procentowym do ludności.

(Organizacje zrzeszone w Międzynarodowym Związku Spółdzielczym dane na rok 1939).

K r a j	Członkowie	Ludność	Członkowie w stos. %-m do ludności
Wielka Brytania ...	8.404.688	47.367.000	17,74
Francja	2.454.000	41.980.000	5,85
Czechosłowacja *) ..	640.290	15.239.000	4,20
Szwecja	634.700	6.310.000	10,06
Finlandia	605.995	3.630.000	16,69
Węgry	598.483	10.111.000	5,92
Szwajcaria	504.790	4.210.000	11,99
Dania	458.916	3.793.000	12,10
Polska	412.762	35.090.000	11,76
Belgia	305.197	8.386.000	3,64
Japonia	253.573	72.223.000	0,35
Holandia	255.925	8.727.000	2,93
Norwegia	169.175	2.921.000	5,79
U. S. A.	126.590	130.215.000	0,96
Jugosławia *)	87.000	15.630.000	0,56
Bułgaria	79.869	6.371.000	1,25
Estonia	49.770	1.134.000	4,390
Kanada	17.428	11.209.000	0,16
Litwa	17.593	2.575.000	0,68
Islandia	14.623	118.000	12,39
Palestyna	6.000	1.435.000	0,42
Z. S. S. R.	37.000.000	169.000.000	—

*) Dawny obszar. *) Spółdzielnie pracowników państw.

BALLADY WOJENNE

JANA WINCZAKIEWICZA

Leżą przede mną dwa tomiki Jana Winczakiewicza «Pieśń o Wrześniu» i «Ballady Wojenne» i numer «Stużby», gdzie Jacek Stwora omówił jego pierwszy tomik, wydany na powielaczu w Grenoble w 1941 r. Ciekaw jestem, co napisałby dziś o Winczakiewiczu wymagający i sztydlerczy Stwora. Jedno jest pewne, że drugi tomik nie dostarczyłby złośliwemu recenzentowi okazji do kpin — drugi tomik w porównaniu z «Pieśnią o Wrześniu», to olbrzymi postęp, to narodziny poety w pełnym tego słowa znaczeniu. Są jeszcze fragmenty, gdzie chciałoby się zrobić poprawki, skreślić coś na korzyść zawartości utworu, lub użyć innego słowa — ale braki te nie są duże w stosunku do postępu, jeżeli porównuje się obie pozycje. Zawili Winczakiewicz z Grenoble, operujący jeszcze kiepskimi i licznymi przenośniami w powodzi słów, rymów i zakusów na filozofię dawał mało prawdy i jasności poetyckiego przeżycia, mało prostoty. Dziś operuje poeta słowami oszczędnie i mądrze, przenośni używa trafnych — a z całości przebiega duża prostota przeżyć i odczuć, ich prawda i duża siła ekspresji. Ballady wojenne są zwarte, prawdziwe i piękne w ich grozie, ironii i bezsilności człowieka w stosunku do praw i spraw wojny.

BALLADY FRONTOWE

— Hej! Schwytaliśmy jeńca — krzyknęli wesóło
i zaraz całą hurmą utworzyli koło.

A kiedy mu już wzięli pierścioneł, zegarek,
a i z portfela kilką wyciągnęli marek,

— Jestem Polak — powiedział. — Cieszę się, że z wami,
cieszę się, że nareszcie między Polakami.

Leżał na stanowisku w śliskim, zimnym błocie
i dumał o zaszczytce służenia w piechocie.

O tej porze — rozmyślał — gdyby był w Londynie,
siedziałby ze sweetheartem w eleganckim kinie.

W Edynburgu natomiast za parę szylingów
mógłby przez cały wieczór tańczyć na dancingu.

Nawet w Gossford, w oddziale, gdyby nie miał warty,
na łóżku z kolegami grałby sobie w karty.

Edynburg, Londyn, Gossford — gdzieś za nim, gdzieś w dali
istnieją tak jak dawniej. A ci, co zostali,

ci sami co i przed tym, uprzejmi, spokojni,
nie zaszczytzeni śliskim, zimnym błotem wojny

chodzą sobie na dancing, wysiadują w kinie
i codziennie pachnącą jedzą baraninę.

Oni także gorąco kochają Ojczyznę.
Ale nie krwią, nie potem, nie reumatyzmem.

Anglik zaopatruje żywi i ubiera,
a Polak tylko walczy. I tylko umiera.

BALLADY SZPITALNE

Każdy szpital jest biały i siostry są białe,
— Pewnie jestem już w niebie — z początku myślałem.

I zdziwiły mnie jęki i chorych wołania
i na białym fartuchu krwi czerwonej plama.

I wtedy powiedziałem — cichutko, do siebie —
że lepiej być w szpitalu, aniżeli w niebie.

(Powiedziałem szeptem. Ale była cisza
i boję się, że Pan Bóg coś niecoś usłyszał!...)

Idą po korytarzach — o kulach, ogromni —
i wiedzą że niedługo świat o nich zapomni.

Minie moda na wojnę i moda na rannych,
przestaną listy pisać współczujące panny,

„kolegów” nie odwiedzi dobry pan generał,
o innych będzie prasa pisać bohaterach.

Im zostaną honory w narodowe święta;
a w dni inne samotność, kalectwo i renta.

Więc nie chcą końca wojny: ona ich zrodziła,
ona im jako matka: ofiarna i miła.

BALLADA DANTEJSKA

Umarł żołnierz w szpitalu i chciał iść do nieba.
„Tu — powiedział mu Pan Bóg — wojska nie potrzeba.

Mam policję z aniołów i ta mi wystarczy.
Zmykaj, synu, do piekła. Z tarczą lub na tarczy”.

Poszedł żołnierz do piekła. Diabeł drzwi zamyka:
„Żołnierzy nie wpuszczamy. Nasza polityka

popiera dziennikarzy, poetów, kapłanów,
winnych zbrodni wojennych oraz mężów stanu”.

Poza tym udzielamy azylu przejściowo
matkom które nie płaczą i wesółym wdowom.

„Ja walczyłem o wolność...” „Wolność? Co to znaczy”
Biedny żołnierz nie wiedział, jak to wytłumaczyć.

„Wolność...” zaczął, lecz diabeł rubasznie się śmieje:
„Wolność, dobry człowieku, wcale nie istnieje”.

Posmutniał na to bardzo, opadła mu głowa,
sposprzegł krzyż swój na piersi... Nie powiedział słowa.

A potem, gdzieś, wysoko, na gwiazdzistych szlakach
samotny i wzgardzony, długo, rzewnie płakał.

W ŚWIELE WIELICZKÓW I WITWOLDÓW

Powieść Elisabeth Kyle «The Stater's Waltz» (tytuł wzięty z nazwy popularnego walcu Waldteufela) ukazuje przygody pięciu guwernantek angielskich, rzuconych przez los do różnych części dawnej monarchii austriacko-węgierskiej. Przebywają one wśród różnych narodów, ale prawie zawsze w sferze arystokratycznej. Koniec powieści rozgrywa się na początku obecnej wojny.

Miss Rose Neille styka się z przedstawicielami znakomitej rodziny polskiej ze Śląska. Ojciec hrabiny Wandy Wieliczki położył duże zasługi dla monarchii; dzieci, Roman i Ludmilla, należą już do pokolenia, które nie idzie na lep posad i zaszczytów: walczy ono o wolność Polski. Wprawdzie los właścicieli ziemskich Polaków w Austrii nie jest najgorszy, ale położenie Polaków w zaborze niemieckim i rosyjskim zmusza Polaków w Austrii do rozpoczęcia akcji w celu uzyskania niepodległości. Berlin podjudza Ukraińców i doprowadza do zabójstwa namiestnika Galicji Potockiego, spokrewnionego z Wieliczkami. Szybko przychodzi odwet: hr. Roman Wieliczka zabija w kawiarni wrocławskiej wysokiego urzędnika pruskiego. Władze niemieckie wydają go Austrii i grozi mu kara śmierci. Stara hrabina Wieliczka przybywa do Wiednia wystarać się o audiencję u Franciszka Józefa i błagać o łaskę. Niestety, intrygi kamarylli dworskiej uniemożliwiają zabiegi hrabiny. W tym czasie Ludmilla, nie bacząc na ciężkie przeżycia, zainteresowała się starym, złotym lustrem, które zobaczyła w oknie antykwarni, i postanowiła je nabyć. Ale piękna Polka przyciągnęła uwagę sztywnego oficera austriackiego; pod pretekstem nabycia tego lustra, również i on zjawia się w sklepie. Spotyka się z ostrą odprawą. Także druga próba ataku — w hallu hotelowym — nie powiodła się; Ludmilla obraża oficera. Po jego odejściu dowiaduje się, że jest to Felix von Gutenberg, adiutant cesarza, jedyny człowiek, który może wyrobić audiencję. Ludmilla waha się tylko przez chwilę; zabiera lustro i udaje się do pałacu Gutenbergów: Roman potrzebny jest dla sprawy, a Polska jest rzeczą ważniejszą niż «nędzny honor» (paltry honour). Hrabina Wieliczka popiera decyzję córki. Nazajutrz Ludmilla zwraca przy śniadaniu uwagę swoją bladeścią i podkrążonymi oczyma, ale von Gutenberg dotrzymuje przyrzeczenia: hrabina uzyskuje audiencję i łaskę dla syna. Nie wiemy, jak w pierwszej chwili zachował się hr. Ladislas Harasowski, naręczony Ludmille, równie jak Roman, przywódca ruchu niepodległościowego, kiedy dowiedział się od niej całej prawdy; widocznie jednak przebaczył, bo ślub się odbył. Von Gutenberg przysłał jako prezent ślubny owo pamiątne lustro, a hr. Harasowski każe je zawiesić na ścianie na wieczną rzecz pamiątkę.

Po trzydziestu latach oglądamy Ludmilę w towarzystwie dwóch synów, ułomnego Witwolda i przystojnego Ladislasa, w pałacu rodowym, w czasie najazdu niemieckiego. Ladislas, oficer kawalerii, po klęsce swego pułku, ukrywa się w pałacu w przebraniu cywilnym. Wpada oddział niemiecki pod dowództwem Gutenbergów. Szukają Ladislasa, któremu grozi kara śmierci. Ludmilla przypomina von Gutenbergowi epizod wiedeński. Von Gutenberg z całą gąsienicą zaznacza, że do razu sztuka. Wówczas Ludmilla wyznaje, że jeden z młodych ludzi jest jego synem. Nie powie jednak, który. Von Gutenberg staje przed strasznym dylematem, bo nie może rozstrzelać własnego syna, a rozpoznanie jest niemożliwe, gdyż zarówno Ladislas, jak

i Witwold podobni są do hrabiny. Na razie rzecz zostaje w zawieszeniu, później von Gutenberg wydłuska sekret od własnego wnuka a syna Witwolda, małego chłopczyka Karola. Ladislas idzie na rozstrzelanie, a Witwold ginie z ręki starego sługi, który wprawdzie strzela do Niemców, lecz trafia we własnego pana.

Ta nieprawdopodobna bajda mówi sama za siebie i nie trzeba znęcać się nad autorką, która jest ożywiona najlepszymi chęciami i zawiniła tylko tyle, że ma błędne wyobrażenie o polskiej arystokracji (ze Śląska). Dziwne tylko jest, że przy tym wszystkim p. Elisabeth Kyle ujawnia pewną znajomość realiów polskich, że np. zdaje sobie sprawę z roli Wiednia w kwestii ukraińskiej, że umie podchwycić tak znamienne dla polskich antysemitów odruchy przyjaźni dla Żydów, że orientuje się w stosunku Węgrów do Polaków, że wie; kto byli Bem i Janosik i t. d., i t. d. Potrafi zdobyć się nawet na humor polityczny, ukazując jak dwie Angielki, które wyszły za mąż, jedna za Węgra, druga za Czecha, przejęły się szowinizmem swoich mężów, pierwsza w stosunku do Rumunów, druga w stosunku do Austriaków.

Wprawdzie Huculi nie mieszkają w Tatrach, Tatrzńska Łomnica należy do Słowacji, a wiedeński hotel Erzherzog Rainier nie jest hotelem arystokratycznym i nie znajduje się na Ringu — ale, doprawdy, są to drobiazgi. Pocieszmy się, że w wybitnym polonofilskim utworze dramatycznym z czasów kościuszkowskich «The Fall of Poland» (Londyn 1855) występuje małżonka Kosiążka, która ma na imię... Raadziwilla.

WRAŻENIA Z POLSKI

Znana w kołach towarzyskich Londynu podróżniczka p. Rosita Forbes, przemierzyła niemal cały świat, stykając się bezpośrednio chyba z wszystkimi głowami koronowanymi i najwybitniejszymi mężami stanu. O podróżach swoich w latach 1920-1934 opowiada zajmując w niedawno wydanej książce «Gypsy in the Sun». Znajduje się tu kilkadziesiąt wierszy poświęconych Polsce, która «tak rozkoszowała się niepodległością, że niedostatecznie myślała o przyszłości. W Warszawie mieszkaliśmy u Raczyńskich, w historycznym pałacu, któremu Joyce, Angielka, młoda żona Raczyńskiego, przywracała dawną piękność. Kocham Polskę. Kraj ten jest tak skąpany we krwi i bohaterstwie, że sam stał się szlądarem bojowym. Polacy uczynili z wojny miłość, namiętność i przygodę. Bronili się zawsze przed przeważającymi siłami, nie tylko swego kraju, ale jednoci duchowej, której nigdy nie utracili. Wydaje mi się, że w całym świecie Finowie, Polacy, Madziarowie i Serbowie najbardziej zasługują na niepodległość. Żaden bowiem z tych narodów nie robił kompromisów dla względów praktycznych. Wszystkie były gotowe do poświęceń w skali biblijnej».

Pani Forbes zarzuca Polsce krótkowzroczne postępowanie z mniejszościami narodowymi: «Nie ma wątpliwości, że dla górników niemieckich w Pszczynie, dla wiosek niemieckich na Śląsku nastały niedobre czasy»... Poza tym Polska wraz z Węgrami i monarchiczną Hiszpanią stanowiły ostatnie kraje feudalne (?) Europy. W wielkich majątkach było w stajniach po sto koni, a Potoccy, Radziwiłłowie i Sapiehowie prowadzili tryb życia, jakby nie się nie zmieniali od czasów Edwarda VII...

Skrutator.

Kolumna poezji

RUDOLF TYCZYŃSKI

Czy znasz szaleństwo co wśród nocy cienia
Chwyta za piersi — więc idziesz do okna.
Zmęczoną pierś ochładza wiosna.
Pachnie ci senna, rozkopana ziemia
W ogrodzie.
Chłodny powiew kładzie dłoń na twarzy —
Eh, głupstwo — cisza gwarzy?
Księżyc gdzieś drży na nieruchomej wodzie
I zagląda ci w oczy, wilgotne — od snu
Mówisz sam sobie.
Zapachniał ci kwiat bzu.
Przed samym sobą wciąż przyznać się nie chcesz,
Że wspomnienie napływa w woni bzu, wiatru szepcie —
Cofasz się i zamykasz okno ostrożnie, jak złodziej.

KOSIARZE

Nad długą nocy linię wymknął słońca dysk —
Zadrgał przez szatę mgiełną
Strumienia stalowy błysk —
Uderzył ptaków hejnał —
Krętym iskrą pośród bladych zbóż
Odpowiedziały iskry kos ostrzonych;
Pod ociężałe wparły się mgły
Dźwignęły je w górę — i już
Przez perłą lśniące zagony
Przemknęły iskry.

Rosa drży przy błysku kosy,
Białych koszul lśnią się plamy;
Na błysk ostrza odbłyśniętą rosę.
Cień przy ziemi jak aksamit.
Równy kosy — równy krok —
Dzień już wstał — gdzieś skrzypi wóz —
Twardo iść w ten kilim zbóż!
Błysk jest tuż — już pomknął w bok.

Nad wsią dym z kominów bije
Prosto w górę białą smugą;
Ma słoneczką drogę długą
Nim za lasy się ukryje.
Mocniej drzewce w twardej dłoni.
Silniej stopę w ziemię wbici.
Niech się szybciej tan ten kłoni —
Bo z tej kłosy musimy żyć.

Już nie spada rosa z kosy,
Słońce mocniej w plecy grzeje;
Potu kropki lśnią u włosów —
Ani wietrzyk nie powieje.
Dzwon uderzył. Już od domów
Widać dwojak w ręku dziecka.
Śmiech już płynie wśród zagonów
I migocze barwna kłębka.

W Anioł Pański przed wieczorem
Kończą pracę ciężkie dłonie.
I nad rzeką i pod borem
Wszyscy chyłą się w pokłonie,
By modlitwę cichą złożyć
O dostatek darów Bożych
Pod stromiane strzechy wioski
Wiem, ciężkich kłosów krocie!
Trud to ludzki, dar to Boski.
Nic po srebrze nam, ni złocie!

WŁADYSŁAW SEBYŁA.

GÓRNICY

Kopalnia przez gardła szybów, jak ziemi zachłanne, płuca,
Wdycha nas rankiem, wieczorem w ciężkim wydechu wyrzuci.
Idziemy w mokrej ciemności długimi chodnikami —
Po śliskim błocie pochyleni do kominów podbitych stemplami.
Świszczące świdy wbijamy w mur, co nie widział światu,
Rwiemy go na kawały zębami dynamitu.
Przez mrok wyżarte oczy zapadły nam w głąb oczodolów,
Głowy od min obuchów zwisają ciężkie jak ołów.
Schodzimy o świcie w noc głuchą, wracamy, gdy dnia już nie ma —
Zastyga za nami droga i zorza drgająca i niema.
Ziemia jest brudna, w niebo na skrajach wsiąkają dymy,
Sinieje las kominów — jedyny jaki widzimy!
Znużeni wracamy, cisi, okryci sadzą i pyłem.
— Proste są — praca i życie, — a namiętności zawile.
W szarym — jak wszystko — domu, w mieszkaniu każdego

[górnika]

Dymią wieczorem kartofle i zegar miarowo tyka.
A rankiem znów syreny jak groźne szumiąca rzeka
Wolają, gdzie spełana śmierć bezusłannie czeka.

W. BRONIEWSKI

Łatwo westchnąć: „Miła, uroczą”,
(nie po raz pierwszy),
ale te oczy i te łzy w oczach
dla moich wierszy...

Czarodziejskie i czarnoświecące,
topiel w błękitach,
takie oczy — toż to nieszczęście:
będą mi śnić się.

Jak je nazwać — Coptem, czy Wisłą?
Żal w nich pogańskich.
Zatławione, jak kwiat zabłyszczą,
ten świętojański.

Za te oczy — wiersz w upominku,
jak szczęście krótki.
Do widzenia, śliczna dziewczynko,
I dalej — w smutki.

ANDRZEJ CHCIUK

Patrz na Ciebie. Piszesz. Jakis list do kogoś.
Myślę o Tobie, o nas: o naszej miłości.
Oddycham śpiewną radością i dławię się trwogą
naszej przyszłości.

Kocham Ciebie. Wiesz o tym. To jest takie proste
choć analizę tego nie obejmę
I ty mnie kochasz. Mówisz mi: najdroższy
i często w oczach masz strach czy kiedyś nie odejdziesz.

Tak samo i o to ja się boję, to samo Ci mówię
bo razem jest nam dobrze i żyć nam tylko razem —
— idźmy ku temu życiu przez ból nieporozumień,
przez radość tego co w nas wspólne, z jednym szczęściem obrazem.

Mania wielkopańskości

Jestem w gronie ludzi wykształconych i obytych. Obecnie prawie każdy jest funkcjonariuszem jakiejś instytucji opiekuńczej lub nawet oficjalnej. Co drugi zostawił w Polsce «majątek ziemski», nie mówiąc już o zburzonym doszczętnie drapaczu chmur w Warszawie. Każdy miał własny motocykl, a większość nie tylko własnego Citroëna, ale także «służbowego» szofera do dyspozycji. Teraz żyje się ze skromnych «żebraczych» poborów, no i od czasu do czasu zagląda się do złotego skarbu walców i dukatów, przeczornie zachowanego na czarną godzinę. Trzeba się przecież jakoś ubrać, ażeby godnie «reprezentować». Oczywiście ubrania sprawia się na czarnym rynku, a krawiec «za igłę» bierze około 7.000 frs. Dożywienie też kosztuje, bo trzeba bronić organizm przed «wyniszczeniem». No i trzeba także od czasu do czasu godnie przyjąć przyjaciół, zrewanżować się...

— Słucham trochę oszołomiony. Co za szczęśliwcy! Jakie wspomnienia, z kim mam zaszczyt.

Jeden z «miłych» panów zaczyna opowiadać, że właśnie wczoraj miał możność rozmawiać z robotnikiem, któremu kilka dni temu, jako emigrantowi fracuskiemu, udało się przyjechać z kraju.

Zaciekawiony pytam, co też ten człowiek opowiada. «Właściwie nie ciekawego, bo to był człowiek tak «prosty», ale w każdym razie nie był zadowolony, bo zarabiał tylko 1500 zł. na miesiąc! Natomiast kilo chleba kosztuje aż 50 zł. Wprawdzie bez ograniczenia, ale ktoś w takich warunkach może go kupić». Pytam dalej. Rozmowny pan ciągnie dalej uprzejmie. «Wprawdzie na kartki chleb kosztuje 1.50 zł. za kilo, ale prawo do nich mają tylko ci, którzy pracują zarobkowo».

— A jakież są te zarobki?

— Bardzo małe. Po prostu nędza. Oczywiście wyższe jak za okupacji niemieckiej, ale b. skromne i niewystarczające. Żeby żyć tak jak się żyło przed wojną, trzeba około 7.000 zł. na osobę, a ludzie zarabiają tylko około 400-500, bo pobory są niskie.

Pytam się naiwnie i z widocznym zażenowaniem.

— Przepraszam bardzo, ale czy można wiedzieć ile pan zarabiał przed wojną?

— Z przyjemnością. Otóż proszę Pana ja miałem 1000 zł. miesięcznie, dodatki służbowe, no i od czasu do czasu przychodziły remuneracje. Ale proszę pana, koledzy mieli więcej. Ratował mnie mój «majątek» tylko, że podatki były wielkie.

Zaczynam się trochę podniecać. Obserwuję reakcję towarzystwa. Słuchają tego jako rzeczy samo przez się zrozumiałych i oczywistych, nie budzących wątpliwości. Zaznaczam, że grono to w żadnym wypadku nie mogło uchodzić za ludzi głupich lub nawet «nieinteligentnych».

Wtrącam znowu.

— Proszę panów, jakie były przeciętne zarobki inteligencji w kraju przed wybuchem wojny. Myślę oczywiście nie o zawodowych wojskowych ale o tak zwanych kadrach z «wyższym wykształceniem».

— No proszę pana około 400 do 500 zł.?

— A robotnik?

— Tak około 100 zł.

Nie wytrzymałem! Nie mogłem dalej spokojnie słuchać opowieści, jak to się co roku jechało na «Capri» lub Cote d'Azur, albo w ostateczności do Krynicy lub Ciechocinka. Nie mogłem znieść opowieści, jak to się kupowało co 3 miesiące kapelusze za 40 zł. i materiały na świeże garnitury z «angielskiej wełny» po 50 zł. za metr.

— Proszę państwa. Przeciętny inteligent z tej kadry z «wyższym wykształceniem» zarabiał około 180 zł. miesięcznie. Żył więc nie skromnie, był zwykle zadłużony i nie miał za co wyjechać na urlop wypoczynkowy nawet do jakiejś zapadłej wsi w sosnowym lesie. Bilety kolejowe dla zwykłych śmiertelników miały ceny wprost prohibicyjne. To też jeździli nimi głównie ci, którzy nie nie płacili, to jest kolejarze lub wojskowi z rodzinami. Zawsze okazała się niezbędna jakaś podróż służbowa. Inteligent kupował jedno ubranie na 2 lata i to na raty z materiału po około 20 zł. za metr. W tej cenie zresztą były już nie złe sukna polskie, a kapelusz za 15 zł. i też nie częściej jak raz na rok. Był naogół b. biedny! Książek nie kupował, bo go nie było na nie stać, chociaż czytał b. dużo. Najlepszy dowód, że wypożyczalnie książek mnożyły się jak grzyby po deszczu. Mieszkał z rodziną w 2-izbowym mieszkaniu i cały dowcip wysilał jak dotrwać do 1-go. Urzędnicy referendarscy w ministerstwie pożyczali po 10 zł. w kasie samopomocowej, żeby mieć za co kupić kartę tramwajową lub kupić papierosy. Na kupienie dziennika nie zawsze były pieniądze. Trzeba było sobie odmawiać i ograniczać się na każdym kroku. A jeszcze jeżeli ktoś miał «nieszczęście» mieć dzieci, które pragnął wykształcić i wychować, ten musiał po prostu od ust sobie odejmować, żeby móc sprostać obowiązkowi. Pamiętam rozmowę z pewnym profesorem aż w VI stopniu służbowym (ranga w hierarchii urzędniczej b. wysoka, odpowiadająca stopniowi radcy względnie naczelnika wydziału), który miał aż sześcioro dzieci. Otóż przy braku jakiegokolwiek dodatków rodzinnych profesor ten wywnętrzał się przede mną, że większość dni w tygodniu jada tylko buraczki z ziemniakami, bo go nie stać na więcej. Nie było więc tak świetnie!

— Tak, proszę pana, ale ja pracowałem we Wspólnocie Interesów!

— Ja natomiast byłem w radzie nadzorczej Banku Handlowego.

— Ja, proszę pana, korzystałem z funduszy dyspozycyjnych i z dodatków na reprezentację!

Uchyliłem głowy z «nieklamany» szacunkiem.

— Być może, że panowie mieli te wyjątkowe posady i dochody. Chociaż przynajmniej się panom, że w ciągu sześciu lat nie spotkałem osobnika, któryby zarabiał mniej jak 1000 zł. miesięcznie lub miał niższy stopień niż VI-ty. Chociaż przepraszam! Pewien miły doktor filozofii przyznał mi się, że zarabiał tylko 350 zł. miesięcznie, ale za to dorabiał 500 zł. jako dziennikarz! W przemyśle i handlu trzeba było nieludzko pracować. Zarabiano się nie wiele więcej niż na posadach publicznych, chyba, że ktoś miał udziały. Zresztą niestety poza Wielkopolską i Pomorzem nie byli to Polacy, którzy tam pracowali. Naogół inteligencja była bardzo biedna.

— A więc według pana zarabiał robotnik?

Skrzywiłem się z gorczy.

— Trudno ustalić wysokość jego zarobków rzeczywistych, bo zależały od jego fachu, sezonu i okresów bez zasiłkowego bezrobocia. Przeciętnie robotnik warszawski zarabiał 60 zł. miesięcznie i to nieregularnie.

— A jakież ci ludzie mogli żyć?

— Żyli, bo musieli. Dorabiała żona posługami lub praniem. Pracowały kilkunastoletnie dzieci. Mieszkał kątem w suterenie, w której często razem z dziećmi gnieździło się nierzadko 10 osób. Łóżek nie było, tylko barłogi z sienników. Zresztą nie było nawet na nic miejsca. Dzieci chorowały na blednicę i anemię. Gruźlica była zjawiskiem po-

spolitym. Jedyńa dostępną przyjemnością, to była ćwiartka monopolówki w sobotę i wygranie się na słońcu na jakiejś «dzikiej» plaży nad Wisłą.

Pan ze sfer oficjalnych próbuje oponować. Nerwowo mruga oczyma i zaczyna wywodzić:

— Wedle danych statystycznych stopa życiowa robotnika stale wzrastała. Poprawiał się wygląd i stan zdrowotny wsi, szliśmy miłowymi krokami naprzód. Żeby nam dali jeszcze tylko 30 lat, to byśmy pokazali całemu światu czego potrafimy dokonać i to wyłącznie własnymi środkami.

— Wybacz pan łaskawie, ale było wprost przeciwnie! W Polsce stopa życiowa była najniższa wśród krajów Europy Wschodniej i miała tendencję zniżkową. Dla pewności cytuję wspaniałą pracę D. J. Imreczińskiego, uczonego węgierskiego, napisaną w 1938 r. «L'optimum synthétique de peuplement». Może pan tam znaleźć szczegółowe dane. Ale nie chodzi mi tylko o podkreślenie smutnej prawdy. *Chciałbym, żebyśmy przestali być wielkimi dziećmi i zaczęli chodzić po ziemi.* Nie bawmy się w wielkich panów i nie ośmieszajmy przed obcymi, którzy doskonale znają prawdę. Oczywiście mówię o ludziach wykształconych i tak zwanych sferach kierowniczych. Nie reprezentuje Polski wyelegantowany na «angielsko» goguś ze sfer oficjalnych lub wyzywająco wystylizowana dama. Reprezentuje biedny chłop, robotnik lub rzemieślnik, bo ci stanowili i sta-

nowią zdecydowaną większość. Są b. biedni. Często nie-
okrzesani no i oczywiście prości. Ale dzielni pracownicy
potrafiący wybrnąć z najtrudniejszej sytuacji. Cieszą się
opinią inteligentnych i pracowitych. Brak im tylko za-
chodniego «okrzesania» (ale i to szybko przychodzi. Pra-
cują lepiej i wydajniej niż inni robotnicy, są patriotyczni
i pobożni. *Mają wiarę*, jak mówią cudzoziemcy. Marzą o
dorobku i możliwości powrotu do kraju. A że mimo cięż-
kich terminów istnieli i wytrzymywali, to dowodzi, ja-
kimi skarbami żywotności rozporządzamy! Nie wolno jed-
nak jej marnować. Musimy iść naprzód, bo raz wyprze-
dzeni — stoczymy się bardzo głęboko. Przestańmy sobie
opowiadać wesołe i dowcipne historyjki o tysiącach zło-
tych miesięcznych dochodów i samochodach służbowych.
panowie ze sfer «miarodajnych». Chodźmy po ziemi i zdaj-
my sobie wreszcie sprawę z naszej wielkiej nędzy, pogłę-
bionej i utrwalonej przez zaborców. Bo z nią będziemy
jeszcze musieli walczyć dziesiątki lat. A z tymi majątkami
i własnymi blokami mieszkaniowymi to dajcie spokój, bo
jeżeli nawet istniały, chociaż nie mam pewności, to są
rozparcelowane lub zabrane, zniszczone lub skonfiskowane.
*A dzisiaj człowiek nie jest takim, jakim go tworzy fortuna,
ale jego wartości osobiste.* W ludziach prostych jest ich
jeszcze na szczęście bardzo dużo.

Mgr. Norbert Fiatkiewicz

Teatr w świetlicy

SWATY W KSIĘSTWIE ŁOWICKIM

Scena przedstawia wiejską chatę, w rogu chaty stoi stół, kilka krzeseł. Pod oknem ława. Na ławie siedzi Kasia i Marysia, przędą na wrzecionach. Matka obiera kartofle i rzuca do wiadra z wodą.

Kasia i Marysia (*śpiewają*):

I

Koło mego ogródeczka (*bis*)
Wyrosła mi jabłoncezka (*bis*)

II

Bielusinko zakwitła (*bis*)
Czerwone jabłuska miała (*bis*)

III

A któż mi je będzie zrował (*bis*)
Kiej mój Jaśko się pogniwoł (*bis*)

IV

Pogniwoł sie nie wim to co (*bis*)
Pysedł do mnie nie wim po co (*bis*)

Marysia (*mówi do Kasi*). — Wiś ty co Kasiu? Punuj u Felki Kacorówny chłopok był wcoraj z wódką.

Kasia (*zaciekawiona*). — Co ty powiesz? A z kunt nie wiesz?

Marysia. — Punuj z Byków, nawet ci galanty, ino ze trochę za mały i trochę koślawy (*śmieją się ha, ha, ha*).

Kasia. — Niewiadomo cy będzie co z tego? A jakże una sie z nim-zapoznała?

Marysia. — A to u Jamroza na muzyce, psetończył z niom jednygo tońca i tero wciąż za niom lato i i...

Matka (*Przerywa rozmowę szorstko*). — Ło bodajśta śwarniej psyndły, a nie o chłopokach i muzykach zawdy goderaty. Ze tys was ta, te inzyki nie zabolom to ty ciągły paplaniny (*odwraca się zdenerwowana*).

Sąsiadka (*wpada zadyszana, zamawiając się pożyczaniem soli, a przy okazji wypowiedzieć plotki*). — Pokwolo-
ny Jezus Krystus (*oddycha ciężko i zaczyna mówić pre-
dko*). Juz tsećl roz jezdem u was kumo. I takem sie zzia-
jała, bo postojałam z kumom Maciejowom, bo akurat sta
z przyńdziunym do zyki i godała ze wi kto ij siminiatką
potrucił, te co to wicie, takie silne jajka niośta (*poka-
zuje na pięści*). I godała zee... (*rozgląda się*). Ale nie
wiem cy wom pujdzić cy nie.

Wszyscy. — Co takiego? Powiezieł moi złociści.

Sąsiadka (*chce niby zagadać*). — A... dyć pysyłam ze-
byście mi pozycyli soli, mo mi ta kasa z garka wykipi a...

Matka (*przerywając jej*). — A dyć kasa to wom i
Franka wystawi.

Sąsiadka. — O dyć wam ta wystawił.

Matka. — A chyla ze una mo?

Sąsiadka. — Styrnaście skuńcy na św. Wawrzun. A
dyć pozycie my ta ty soli, bo my ta kasa do cna wy-
kipi.

Wszyscy. — Powiedzie co mieliście pójdzić?

Sąsiadka (*zuraca się do Kasi*). — Juz ty niedługo be-
dzies matce w chałupie zawołać.

Kasia (*zaskoczona*). — Co nowego?

Sąsiadka. — A-a dyć juz wom powim: a to dzisioj mo
psyjść z wódkom do was Jontek Dzińciołów i Tomala.

Matka (*zdziwiona*). — W imię Ojca i Syna, Kontek
Dzińciołów z wódką do nas? Słyszys no ty Kasiu?

Kasia i Matka (*razem zaciekawione*). — Co dalej ga-
dajcie moi złociści. Kto wom o Dzińciole godoł?

Sąsiadka. — A dyć juz wom powim: (*nabiera tchu,
mówi prędko*) A to my powiedzioła Stachowo, a Sta-
chowy — Symkowo, a Symkowy — Maciejowo, a Ma-
ciejowy — Sikozyno z kuńca wsi, ktero na własne ło-
cy widzioła jak dzisioj w synku u Baryki stary Toma-

la, Dziñcioł, Jontek i was chłop pili wedle tegój i strasznie sie ta całowali, jak to te chłopiska kiej podpijom (*stychać śpiew, wszyscy nadstuchują*). Ło dyć jadom z jadmarmku! Ostańcie z Bogiem! (*ucieka sąsiadka i Maryrysia, matka i Kasia sprzątają w mieszkaniu*).

Śpiew za sceną :

Hu ha! hejze ha! wio wieśta druzkom wiozowum,
Jedziemy z jarmarku z nie próznom głowom.
Jeśli kogo świerzbilom zęby,
Pozbędzie się wszyckich z gęby
Gdy się nawinie nasej druzynie !

Wechodzą (*Tomala, Dziñcioł, Jontek, ojciec, mówią*). —
Pokwołony Jezus Krystus.

Matka. — Na wieki ! Co stychać ?

Dziñcioł. — Staro bida !

Matka. — Ho, ho po jarmarku jakoś śwarno wyglondota. Bo moimu starymu to sie łocy świcom kiejby u barana.

Dziñcioł. — No, jakże być w Rzymie i papiza nie widać ?

Ojciec. — Siadojta se (*podaje krzesła*). A ty Kasiu i staro zakrzuntni sie wedle jodła (*podaje machorkę*), kryńta se, dali (*wszyscy kręcą, zapalają, Kasia wynosi z wiadrem kartofle, wraca, staje pod oknem, skracając róg faryuszka i spogląda ukradkiem na Jontka. Matka siada przy stole*).

Tomala (*wstaje*). — Nie bede jo tu duzo godoł ani marudził. Nie psysedem targować jałówki ani godzić Kasi na służbe. Przysliżwa cybyście nie dali Kasi za Jontka. Chłopok nie zły, służył w wojsku. A i una galanto (*patrzy na Kasię*), była by z nich siarciście dobrano pora.

Jontek (*niesmiato*). — Bo prowda zetelno prowda.

Tomala. — Štery morgi łod Jamrozowy gospodarki, ziemia psynny, i łod zyki štery pod górke.

Matka. — Ee stary, a chyla ze uni kęą.

Ojciec. — Štery tysiuce.

Matka (*z lekceważeniem udając*). — Ho, ho, a bo to nos stać na tyła ?

Tomala. — W takim gospodarke nie załowałbym i 5 tysincy.

Kontek. — Bo prowda zetelno prowda.

Ojciec. — My tu godowa i godowa, a niewima jak ta młodzi (*zwraca się do Kasi*). Kasiu chodzino tu.

Dziñcioł. — Do krzty zabocyliżwa ło nich.

Ojciec (*do Kasi*). — Godoj kees Jontka cy nie.

Kasia. — A bo jo wiem (*odwróciła się bokiem zawstydzona*).

Ojciec. — Pomiarkuj se sama, zebyś późni nie nazykała.

Kasia. — Jeśli wy pozwolicie to jo kee (*ucieka w kąt izby, a Jontek za nią i skubie jej róg fartuszka, wszyscy się śmieją, oglądając się za nimi*).

Dziñcioł (*wstaje*). — No jeśli tako Wolo Bosko sykujwa se weselisko (*ogląda sipe na matkę która ociera łzy*). O, a to co, wum sie markoci jak widze? A a dyć cegój? Bedziecie mić zińcia, a jo synowym. A na koniec utnijwa se kujawiosa i pójdziewa do chałupy (*Wszyscy wstają, śpiewając, Kasia z Jontkiem po środku izby, reszta po bokach*) (*mel. kujawiaka*).

I

Ksywo ozecie rataju, ksywo ozecie, ozecie
Cy wum wołki nie kcom chodzić, cy wy nie keecie
nie keecie.

II

Chodzą wołki od południa,
Chodzą od rana do rana
Jak mi dziewczce buzi nie dos
Pójdę za pana za pana.

III

Zabzynały nosielniki, wpadły we wodę, we wodę
Ty mnie dziewce opuściłaś,
Jo cie nie mogę, nie mogę

IV

A terzom mi takom dali,
Ze me ino ciągiem wali.
We dnie wali, w nocy wali,
Nie wiem co to bedzie dali.

(*po każdej zwrotce przygrywka i wszyscy tańczą*).
(*mel. łowicka*).

Kasia śpiewa :

Oj, kochaj ze mnie Jasiu,
Oj kiedy ześ łozpocon,
Oj niechze nie wypłace (*bis*)
Oj moich carnych łoców (*bis*)

Mówileś wcoraj Jasiu,
Ze jo mom ładne łocy
A dziśioj w nie nie patsys (*bis*)
Oj nie wim co sie znacy (*bis*)

Jontek śpiewa :

Oj wołoł bym jo wołoł
Oj stawy, rowy kopać
Oj nizeli dziewczyno (*bis*)
Oj w tobie się zakochać (*bis*)

Bo stawy, rowy skopię
I pójdę sobie do dum.
A jak jo się zakochum (*bis*)
To rady sobie nie dóm (*bis*).

(*przygrywka, wszyscy tańczą*).

Organizacyjny pies

Trzynastoletni otyły Kruczek patrzy na mnie spokojnym oczyma starego wiernego psa, co to już niejedno widział w swym długim psim życiu.

«To jest, proszę Pana, organizacyjny pies» — mówi jego gospodyni, pani Jadwiga. «On zawsze spał na «babe», którą zakopywaliśmy w jego budzie — i pilnował jej przed Niemcami». Wydaje mi się, że pies rozumie te słowa, dotyczące niedawnych jeszcze miesięcy; jest dumny z tego co się działo w tym robotniczym domu na przedmieściu, w którym czasem znaleźć musiały goście nie jedna ale

dwie «babe», gdy inne lokale były zagrożone.

W tym niepozornym drewnianym domku z ogródkiem nie tylko pies jest «organizacyjny». Tradycje pracy tajnej ma także jedno z łózek, które gościło wiele dziesiątków przejezdnych, od zwykłych łączników organizacyjnych do konsulów Rzeczypospolitej, których wciąż się jeszcze nazywa ich imieniem z P.O.W.N. Poważne tradycje z tego okresu ma także kuchnia pani Jadwigi. W tych trudnych czasach nakarmiła ona wielu głodnych, którzy albo nie mieli kartek żywnościowych, albo nie chcieli ryzykować

obławy w którejs z restauracji. «Organizacyjni» w tym domu są jednak przede wszystkim ludzie.

Kawał świata zjeździł pan Jan, zanim z rodzinnej Kielecczyny przyjechał do Francji, o której mówiono mu, że jest słoneczna. Nie mniej chyba widziała pani Jadwiga; opuściwszy ziemię suwalską, tułała się po kraju, którego dzieci śpiewały (a dziś zaczynają nanowo?) «nasza matuszka Rossija wsiemu światu gaławał». Trudno było obojgu wyrwać się z rąk tej kochającej «matuszki», wydostali się jednak mimo wszystko. Polskę, która była ich siłą i przewodnikiem w ogłupiającej carskiej Rosji i w piekle rewolucji, przywieźli ze sobą do Francji. Siedzą tu już 22 lata, a obraz Polski ani trochę nie błednie w ich oczach. Ciężką pracą doszli do posiadania małego domku z ogródkiem. Nie zrobili jednak majątku na uchodźstwie, widać to odrazu. Ten kto na kilkudziesięciu metrach kwadratowych sadi nie tylko marchew i rzodkiewkę, ale znajduje miejsce na piwonie i krzaki bzu — nie jest napewno groszorem. Tak też było i z nimi. Pan Jan i pani Jadwiga wkładali cały swój czas i całą energię, jakle im zostawały po opędzeniu kłopotów dnia codziennego, w robotę polską. Stąd, z tego miasta niebardzo znanego z kronikach Polonii francuskiej, płynął wartki prąd polskiego życia kulturalnego i ogarniał naszych robotników i rolników w dużym promieniu. Wystarczy pogadać z gospodarzami domu, by się przekonać, ile im dała książka polska, z którą zawarli owocne w skutkach przymierze.

Pan Jan jest niewątpliwie typem przodownika. Nie jest «działaczem» z tych, co podpisują odezwy i manifesty i których obwozi się po kraju i zagranicy, by składali deklaracje. Jest tym przodownikiem, który umie dobrać i skupić wokół siebie ludzi; umie słuchać rady tych, z którymi pracuje, ale potrafi także popchnąć ich do czynu. To też nie dzinego, że gdy przyszedł okres nadstawiania głowy, w czasie czterech lat niemieckiej okupacji, w pierwszych szeregach znalazł się nie tylko on i jego żona, ale także cały zespół kierowników życia polskiego w kolonii. Była to jedna z tych placówek, o której wiedziało się z całą pewnością, że wykonają każdą robotę na czas i bez błędu.

W ostatnich czasach miałem sposobność odwiedzić pana Jana i jego współpracowników. Grono robotnicze w stu procentach; nie ma kawiarnianych inteligentów, którzy

pracują «dla ludu», nie ma gorszych jeszcze od nich pół-inteligentów, co to stają między ideą a masą wychodźczą i krzyczą: emigracja ot my! Nie rozmawialiśmy wcale o polityce. W tym zakresie nie trzeba było niczego uczyć tych ludzi. Wspaniale orientują się w sytuacji, wyczuwają ją, wiedzą, co mają robić i... robią. Pogawędka nasza toczyła się wokół spraw przyszłości Polski i przyszłości emigracji. Ludzie, z którymi rozmawiałem, byli bardzo różni; pochodzili z rozmaitych stron Polski, mieli różne zapatrywania na te i owe sprawy, różny temperament w reagowaniu na fakty, o których mówiliśmy. Jednak w czasie tej przydługiej wieczornej pogawędki, na którą się zeszli po całodzienniej robocie, wszystkie oczy błyszczały, wszystkie umysły i wszystkie serca były nastawione na jedną, jedyną, najważniejszą sprawę — sprawę Polski. I nie nabrzmiałych patosem frazesów szukali tego wieczoru ci robotnicy, którzy opuścili Kraj przed 20 laty. Pragnęli się dowiedzieć, jakie są zamiary na przyszłość polskiej wspólnoty narodowej, do której oni — emigranci należą; przyszli zastanowić się spodem nad konkretnym planem pracy, który oni w swojej kolonii powinni w najbliższym czasie wykonać. Bowiem robotnik polski we Francji zdaje sobie sprawę, że jego na obczyźnie i całej Polski przyszłość to nie odezwy i manifesty, ale Idea i plan pracy. Codziennej, konsekwentnej, przemyślanej pracy. Od zaraz, od dziś!

Emigrant wie, że sytuacja naszego państwa i naszego narodu jest ciężka. Nie traci jednak wiary. Chce pracować, mimo trudnych warunków istnienia i wypowiadania swych myśli w obcym kraju. Pragnie jednak pracy, w której zobaczyłby ten plan zamiast różnej maści i kalibru «wodzów», których sporo uwija się wśród wychodźstwa.

Gdy nadejdzie czas, w którym nasze wychodźstwo zobaczy wreszcie rzeczowy i realny, mądry i wszechstronny plan pracy dla Polski, gdy zamiast «wodzów» przyjdą demokratyczne metody roboty, pozwalające naprawdę na istotny udział robotnika w decyzjach i ponoszeniu odpowiedzialności za nie — zobaczymy, że jak z pod ziemi wychodzą będą we Francji setki i tysiące domów polskich, gdzie «organizacyjni» będą gospodarze, «organizacyjne» kuchnie, «organizacyjne» łóżka i t. p. Nawet, pies!!

Jerzy Jankowski.

Kronika kulturalna

DRUGI KONCERT MAŁCUŻYŃSKIEGO W PARYŻU

W dniu 26 czerwca w sali teatru Champs Elysées odbył się zapowiadany koncert Witolda Małcużyńskiego na odbudowę Biblioteki Polskiej. Występ polskiego pianisty wzbudził jeszcze większe zainteresowanie niż poprzednio. Przepelniona po brzegi sala reagowała jeszcze żywiej niż podczas pierwszego koncertu — widać jak bardzo Małcużyński przypadł do gustu publiczności paryskiej. Szczególne brawa wzbudziło wykonanie Sonaty Appassionata Beethovena, Rapsodii Hiszpańskiej Liszta i Etiudy Rewolucyjnej Chopina. Pewnego rodzaju nowością dla publiczności paryskiej był rzadko słyszany Szymanowski (Trzy Mazurki op. 50). Wielokrotne zmuszanie Małcużyńskiego do bisów (do czego nie jest on zbyt skory) mówi samo za siebie o olbrzymim sukcesie artystycznym i propagandowym.

Organizacyjni koncert miał pewne mankamenty: wpuszczenie publiczności już po rozpoczęciu programu i pewna niepunktualność — jest do uniknięcia z korzyścią dla samego poziomu koncertu i opinii artysty.

M.

W maju b. r. minęły dwa lata od chwili założenia Teatru Dramatycznego 2. Korpusu. W ciągu tego czasu teatr nasz dał żołnierzowi niezliczoną ilość przedstawień w prawdziwych salach i pod gołym niebem, budząc uznanie dla swej pracy i osiągnięć i szczere uczucia wdzięczności wśród spragnionych prawdziwie kulturalnej rozrywki żołnierzy. Wystawiano sztuki: Moliere («Szelmostwa Scapeana»), Fredry («Damy i Huzary»), Bałuckiego («Dom Ołwarty»), Naglerowej («Tu jest Polska»), Ligonii («Wesele na Górnym Śląsku»), Laskowskiego («Sprawa Nr. 113»). W dwulecie swego istnienia Teatr Dramatyczny 2 Korpusu wystąpił z jubileuszowym przedstawieniem «Księżniczki Turandot» Gozziego. Kierowniczką teatru jest p. Jadwiga Domańska, reżyserem — p. Wacław Radulski.

Z. A. S. P. (Związek Artystów Scen Polskich) w Londynie ogłosił wynik konkursu na sztukę sceniczną. Nagrodę pierwszą (50 £) otrzymał przebywający w Kanadzie Michał Choromański za sztukę pt. t. «Noce bez tehu». Nagrodę drugą (30 £) p. Teodozja Lisiewicz za sztukę «Dom». Nagrodą trzecią (25 £) podzielili się Wacław Solski (sztuka «Antrakt») i Henryk Tyszyński (sztuka «Pobudka»).

MONTE CASSINO POWRACA DO NOWEGO ŻYCIA

W piękny słoneczny dzień marca 1945 sznury wytworzonych samochodów ciągnęły od wczesnego ranka szosą wiodącą z Rzymu do Monte Cassino. Ambasadorowie alianccy, ministrowie włoscy, prasa, zjeżdżały do Monte Cassino na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod zburzone Opactwo oraz fundamentów pod domy mieszkalne dla ludności, prowadzącej od roku żywot koczowniczy w okolicznych wioskach. Nie trzeba tu opisywać zniszczenia miasteczka, które jeszcze rok temu liczyło 10.000 ludności. Znają je najlepiej Polacy, którzy własną pierśią zdobywali piędź za piędzią te góry. Jedynie sterczące, niby szkielety, resztki ścian, kominiów, czy fronton kościoła przypominają, że niespełna rok temu były tu siedziby ludzkie. Na gruzach klasztoru resztki przepięknych kolumn, fragmenty wspaniałych rzeźb barokowych i renesansowych, fresków bizantyńskich w podziemnych kaplicach grobowych, świadczą o 1500-letniej przeszłości Opactwa. Monte Cassino, to żywy pomnik grozy wojennej.

Na uroczystość przybyli przedstawiciele aliantów i rząd włoski z premierem Bonomi na czele oraz tłumy ludności z okolic. Obecny był również przedstawiciel Ojca św., opat klasztoru i kilku mnichów, którzy zdołali ocalić swe życie. Wygłoszono szereg przemówień okolicznościowych.

Mówiąc o odbudowie Opactwa, ambasador amerykański nadmienił, że «zdobywali je dzielni Polacy wraz z armią amerykańską i innymi wojskami sprzymierzonymi». Poza tymi kilku słowami o «dzielnych Polakach» nie usłyszało się w przemówieniach oficjalnych ani jednego słowa o tych, którzy otworzyli aliantom drogę do Rzymu. Przemiłczano jakby wstydliwie nadludzki, bohaterski wyczyn zbrojny żołnierza polskiego; jedynie parę tysięcy mogił na cmentarzu polskim przypominały milcząco o zdobywcach Monte Cassino.

Wśród przedstawicieli obcych mocarstw widzieliśmy: ambasadorów Stanów Zjedn., Francji, Rosji, Hiszpanii, Chargé d'affaires Anglii. *Brakło tylko przedstawicieli Polski* — tego, który chyba miał największą legitymację moralną, aby tam być obecnym. Obok trybuny dla mówców powiewały sztandary brytyjski, amerykański, sowiecki, francuski, włoski. *Brakło tylko biało-czerwonego sztandaru Polski*, który jako pierwszy powiewał na zdobytej górze Monte-Cassino przed niespełna rokiem.

Jakże dziwnie krótka jest pamięć ludzka! Tu, na Monte Cassino, gdzie — zdawałoby się — pamięć «niespotykanego w tej wojnie bohaterstwa żołnierza polskiego» (jak pisała wówczas prasa aliancka) przetrwać winna wieki całe, — tu właśnie, w niecały rok po fakcie dokonanym — zapomniano o nas.

Smutny i bolesny to fakt, będący jednak niewątpliwie tylko jednym z wielu przykładów obecnej polityki wobec Polski.

M. Męcińska

Teatr Żołnierski

WIELKA REWIA ŻOŁNIERSKA

p. t. «RAMIĘ W RAMIĘ»

W niedzielę dnia 24 czerwca b. r. w małej znanej z licznych przedstawień polskich salce teatralnej przy ul. Epinettes odbyła się «Wielka rewia żołnierska» zażyłowana «Ramię w ramię». Rewia ta zaofiarowana była przez Polską Y.M.C.A. żołnierzom z koszar Bessieres. Organizatorem był stary imkarz E. Jodłowski, który już we wstępnym przemówieniu zaznaczył: «że mimo przykrych dla nas obecnej sytuacji nie powinniśmy głów opuszczać i upadać na duchu, ale wierzyć stale w pogodne jutro i iść zwarci ramię w ramię i uśmiechnięci, a wówczas nie nam nie robi nikt. Oto motto tej rewii.

Tak w całości jak i w szczegółach rewia była zupełnie udana. Numery następowały po sobie w amerykańskim tempie. A oto kilka słów o wykonawcach. Pani Malakowska Larysa sprawiła naprawdę przemianą niespodziankę żołnierzom, którzy znali ją dotąd jako pracującą w kantynie Y.M.C.A. w koszarach i nigdy nie spodziewali się, że ta sama pani wystąpi na scenie. Pani Malakowska posiada miły głos o pięknej barwie altowej i jej piosenki tak wszystkim znane wykonane były z wielkim wyczuciem i ekspresją. To też brawom nie było końca. Małenka tancerka, p. Teresa Bąkówna, aczkolwiek poznać że debiutuje, sprawiła jednak duże wrażenie na obecnych, wykazując dużo odwagi i werwy, a powtórzenie swego walca na bis było dowodem najlepszym, że się podobała. Warto jej życzyć, aby dalej pracowała. Pan Gajdarski wyraźnie odbijał się od reszły zespołu pod względem fachowości i rutyny aktorskiej. Tak w swoim własnym solowym numerze jak i w skeczach wykazał dużo zdolności świetnego humorysty. Skecze wojskowe były wesołe, swobodnie zagrane i bardzo odpowiednie do audytorium. Pan Heczka oraz pp. Piwowarczykówna i Turczyńska doskonale uzupełniali całość zespołu: ich tańce — trojak i mazur były zupełnie udane, pełne werwy i życia. Powinszować należy również p. Trzonkowskiemu za jego naprawdę wirtuozowską grę na organkach. Numer p. Kotlińskiego komika parodysty wywołał duże salwy śmiechu. Niegasnący entuzjazm wywołał oficerski kwartet wokalny pod kierownictwem p. Jodłowskiego. Kwartet ten ma już swoją tradycję. Odrzynnim powodzeniem cieszyły się nowe piosenki do słów Andrzeja Chetuka muz. Jodłowskiego p. t. «Ramię w ramię» i «Uśmiechnij się». Naturalnie nieśmiertelne tango marynarskie kwartet musiał śpiewać na bis. Dowodem sympatii, jaką kwartet cieszył się na tej rewii były kwiaty, wręczone kwartetowi od kogoś z publiczności. Nie należy również pominąć pięknej recytacji p. Świerkowej, która sama będąc uczestniczką Armii Krajowej, wypowiedziała dwa okolicznościowe wiersze z obrony Warszawy — z dużym wyczuciem. To też niejednemu łezka zaświeciła w oczach. Całość wieczoru wypełniła orkiestra, akompaniowała solistom i orkiestrze pierwszorzędnie na pianinie p. Grzybowski Jerzy. Szkoda tylko, że wieczór ten był w tak małej sali i że nie mogli go zobaczyć inni Polacy z terenu Paryżu.

J.

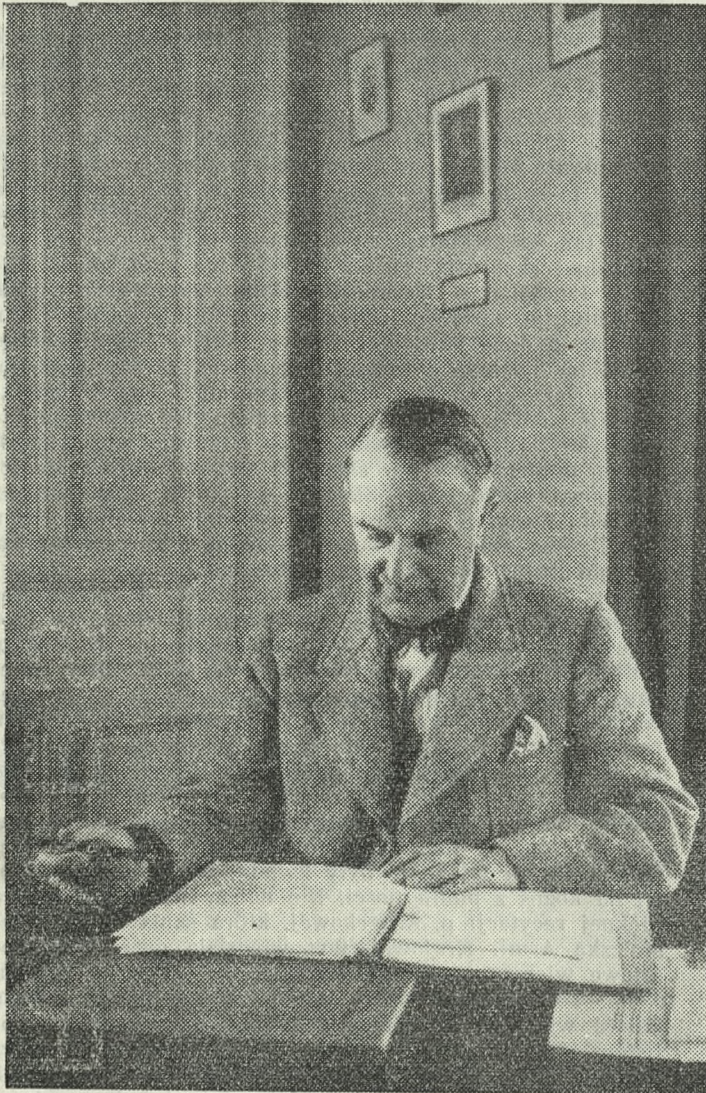
PO PRZECZYTANIU

ODDAJ DRUGIEMU !

Miły Gość

W ciągu tygodnia 16-22 lipca bawił na terenie Francji pierwszy raz od czasu wybuchu wojny, p. Johannot z Genewy, członek Komitetu Światowego Y.M.C.A., oraz wielki protektor kilkuletnich prac Imki wśród internowanych w Szwajcarii żołnierzy II dywizji polskiej.

Pan Johannot zna dobrze Polskę, a przez serdeczną i



P. J. Johannot.

rozległą pracę wśród internowanych Polaków — poznał nas dokładnie, żył się z nami i zaskarbił sobie wśród nas b. wielu oddanych i serdecznych przyjaciół, jako czuły opiekun, możny protektor i organizator. Kursy urządzone przez Y.M.C.A. w Szwajcarii, szkoły powszechne i średnie prowadzone przez kilka lat, wreszcie wspaniałe wydawane książki podręczniki szkolne — to trwały ślad pięknej i wielkiej pracy Y.M.C.A., dokonanej w Szwajcarii pod przewodnictwem p. Johannot.

P. Johannot załatwiał wiele spraw związanych z pracą Komitetu Światowego Y.M.C.A. zwłaszcza pomocy jeńcom wojennym (Aide aux Prisonniers de Guerre), — a jednak znalazł dość czasu, aby przyjrzeć się z bliska pracy Polskiej Y.M.C.A. na terenie Paryża. Odwiedził Biuro Główne, Klub Polskiej Y.M.C.A. na Leverrier, Ogniska w Koszarach Bessières i w Houilles.

Polska Y.M.C.A. we Francji jest szczęśliwa, że mogła Go gościć u siebie i wdzięczna za wszelką pomoc, jaką jej okazuje, przez odstąpienie jej do Francji wielu skrzyń książek, sprzętu sportowego i gier towarzyskich, farb i instrumentów muzycznych.

ROZMOWA Z PREZESEM

Siedzę u Prezesa w gabinecie i rozmawiam z nim na temat jego ostatniej podróży do Anglii i kilkotygodniowego pobytu tam w sprawach Y.M.C.A.

— Pierwsze wrażenie, rzucające się w oczy w Londynie — mówi Prezes — jest to, że Londyn pełen jest Imki: ogłoszenia o świetlicach, hotelach i kantynach Y.M.C.A., afisze angielskie i kanadyjskie, widzi się również tablice Polskiej Imki.

— Gdzie mieści się nasza YMCA? — pytam się z pierwszej ciekawości.

— Mieści się przy 61, Eaton Place w Londynie. Lokal ma obszerny i miły, personel — jak i nasze Biuro Główne — nieduży ale zgrany. Oddział YMCA dla Szkocji jest w Edynburgu. Poza Londynem i Edynburgiem ważne centrum pracy imkarskiej znajduje się w Nottingham, gdzie jest Dom Lotnika Polskiego, i w okolicy. YMCA w Anglii posiada kilkadziesiąt ognisk w polskich oddziałach wojskowych, poza tym na kontynencie w ramach polskiej dywizji pancerniej pracuje Ekipa Polowa Polskiej YMCA z W. Brytanii, działalność jej obejmuje tereny Belgii, Holandii i Niemiec, zawadza też o północną Francję.

— Jak się przedstawiają świetlice Polskiej YMCA w Anglii?

— Jest ich około 60, są jednorodne, bo tylko dla wojska, miło i czysto urządzone, obsługa dekoracyjna staranna i pełna pomysłów, pod opieką oficerów oświatowych lub «pestek», wyposażenie — na stosunki francuskie — komfortowe.

— Czy charakter świetlic naszej Imki z Anglii jest taki sam, jak u nas we Francji?

— Pod względem idei dekoracyjnej — charakter świetlic jest analogiczny. Świetlica, tak jak i u nas, ma «naстроić» uczestnika, niepostrzeżenie uczynić go podatnym dla pracy Imki nad nim; musi być zatem ładna, estetyczna, czysta, jasna i ciepła. No, ale pod względem zamożności — świetlice w Anglii biją nas na głowę; są wyposażone komfortowo, główna różnica — to meble: tam fotele klubowe, wygodne, zachęcające do wypoczynku i pogawędki — u nas — prymitywne, twarde żołnierskie stoły i ławy. I nasza YMCA w Anglii i nasi żołnierze tam to wprost szczęściarze, — są w kraju przebogatym, przyjaznym, gdzie «na dodatek» jest bogata i szczerze przyjazna YMCA angielska, nie szczędząca wszelakiej pomocy bezpośredniej i pośredniej.

— A jak układają się naszej Imce tam stosunki zewnętrzne?

— Nastrój jest miły. Lubią tam Imkę. Podkreślić trzeba miłe ustosunkowanie się do Imki kleru katolickiego. Otwarcia Domu Lotnika Polskiej YMCA dokonał znany biskup katolicki, Lord biskup Nottinghamu dr. E. Ellis, przyjaciel Polski i Imki. Angliacy z uznaniem wyrażają się o naszych świetlicach, bo zobaczyli, że mogą być świetlice, gdzie nie ma ani nagich kobiet, ani frywolnych rysunków.

Świetlice Polskiej YMCA to dla nich kreacja pewnego typu i nowy wzór.

— W czym widzi Pan, Panie Prezesie, specjalne właściwości pracy Imki Polskiej w Anglii i we Francji.

— Zasadnicza różnica między pracami naszej Imki tu i tam polega na tym, że tam robota jest bardziej skupiona, jednorodna, — dla wojska, a u nas idzie szerokim, aż za szerokim frontem — przez świetlice w wojsku, przez opiekę nad deportowanymi, przez kursy dla młodzieży, przez zawodowe kursy korespondencyjne, przez organizację wykładów i odczytów, przez stypendia naukowe, przez wydawnictwa broszur i periodyków, staramy się objąć wszelkie potrzeby kulturalne społeczeństwa polskiego we Francji. Jest to wynik warunków: tam był rząd, ministerstwo oświaty, opieki społecznej, instytuty naukowe, badawcze, wydawnicze i t.p., a tu — nic; ten brak tutaj starała się zaspokoić YMCA. Rozpiętość wachlarza naszej pracy odbiła się na jej poziomie, który stanowczo jest w swym wyrazie zewnętrznym biedniejszy, gdy tam — w warunkach szczęśliwych, normalniejszych — praca jest zwarta, konsekwentna, utrzymana zewnętrźnie na poziomie dostatnim, wzbudzającym pełny spokój i zaufanie; — oświadczyć muszę powiedzieć ze smutkiem dla naszych świetlic, że dopiero w świetlicach naszej Imki w Anglii oddychałem atmosferą prawdziwie imkową!

— Jak Pan Prezes ocenia ogólne wyniki swej podróży do Londynu?

— Trafiłem na moment b. ciężki politycznie. Ciążył on w rozmowach i dyskusjach wszędzie i utrudniał decyzję, tym niemniej wszechstronnie zapoznałem wszystkich z naszą działalnością i potrzebami, spotykając się ogólnie z wielkim zrozumieniem i z wielką przychylnością. Wiele czasu poświęciliśmy zagadnieniom pracy Polskiej YMCA na terenie Niemiec, której rozpoczęcie komplikuje się przez b. zawiąły system administracyjny okupacji Niemiec. W czasie mego pobytu uzgodniliśmy, oczywiście w myśl planów naszego dyrektora generalnego, p. Supera, zagadnienia ujednolicenia całej działalności Polskiej Imki zagranicą. Został powołany do życia Komitet, który zagranicą będzie miał uprawnienia Rady Krajowej, — zaprojektowano jeden zarząd, który będzie jedynym ośrodkiem dyspozycyjno-wykonawczym Polskiej YMCA zagranicą. Wszystko — pod okiem dyrektora Supera, jako naszego dyrektora generalnego, t.j. dyrektora na zagranicę i na kraj.

— Przecież Pan Prezes był w Anglii poraz pierwszy? Jak Pan się tam czuł?

— Muszę powiedzieć, że spotkałem się tam z taką wszędzie serdeczną gościną, że byłem i wzruszony i zażenowany, i pobyt mój tam wspominam jako odwiedzin wśród najserdeczniejszych przyjaciół.

Pożegnałem naszego Prezesa, zadowolony z tylu ciekawych uwag i informacji, zwłaszcza gdy powiedział mi na zakończenie, że «Razem» b. podoba się w Anglii i w Niemczech.

Ś.P. JERZY PACZKOWSKI

Z grona naszego ubył na zawsze ś. p. Jerzy Paczkowski, jeden z członków-weteranów Polskiej YMCA, jej wychowanek i uczestnik wielu imprez w Polsce. Wojna 1939 roku zastała Go w Paryżu przy pracy literackiej i dziennikarskiej. Zaciągnął się zaraz do wojska. W I-szej Dywizji Grenadierów walczył na ziemi francuskiej. Po czterowej kłose przedostał się do Grenoble, gdzie w polskim życiu intelektualnym odgrywał dużą rolę. W Oficynie nicejskiej Tyszkiewicza wydał tomik «Spotkanie z Muzą». Jego słowa do piosenek Zygmunta Dygata, wydawanych przez YMCA, będą długo jeszcze śpiewane. Pod pseudonimem A. Gabriel pracuje w POWN, gdzie w Północnej Francji jest szefem

grupy «Mazowsze». W okresie swej pracy konspiracyjnej, dzięki swej odwadze i energii zyskał wielu oddanych przyjaciół. Przed aresztowaniem bronił się z bronią w ręku, by dać czas ucieść kolegom z radiostacją, wreszcie ranny został wzięty przez Gestapo. W obozie koncentracyjnym wykazał wiele wytrzymałości i pogody ducha. W obozie też zmarł.

Jego współpraca z YMCA w Francji była bardzo ścisła. Nasze wydawnictwa zawdzięczają Mu dużo. Pod jego przewodnictwem opracowanych zostało przeszło 10 zeszytów zawierających bogaty materiał odczytowy i artystyczny dla organizowania obchodów i rocznic narodowych. Wiele artykułów Jego pióra drukowano w powielaczonych wydawnictwach imkarskich.

Na kursie instruktorskim Polskiej YMCA w Alvernac dał ś.p. Jerzy Paczkowski piękny w formie i bogaty w treści przegląd najnowszej literatury polskiej, wydany później przez YMCA jako «Literatura polska z perspektywy roku 1941». Piękne Jego «Trzy gwiazdki polskiego żołnierza» przedrukowane były w nr. 7-8 «Razem».

Sylwetka ś. p. Jerzego, wyrafinowanego poety, intelektualisty i estety, wspaniałego człowieka, przyjaciela, pogodnego kpiarza i niezrównanego kompana, Polaka o głębokim nurcie społecznym i moralnym, prawdziwego, wzorowego Imkarza — pozostanie nam na wieczystą pamięć, pełna światła i ofiary.

TRZECHLECIE KORESpondENCYJNYCH KURSÓW HANDLOWYCH

Korespondencyjne Kursy Polskiej Y. M. C. A. są pierwszą tego rodzaju inicjatywą polską na terenie Francji. Celem Kursów Handlowych jest umożliwienie szerokim zastępom wychodźstwa polskiego zdobycie wiedzy fachowej i podniesienie ich wykształcenia ogólnego.

Kierownikiem Kursów jest p. *Bolesław Przeglasiński*, b. profesor Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, poszczególne przedmioty wykładane na Kursach, opracowane zostały przez specjalistów i znawców danych zagadnień.

Zapoczątkowane zostały w formie Kursów ustnych zorganizowanych w 1942 r. na terenie największego skupiska uchodźców polskich, jakim wówczas było Hyères na Półwyspie Francji. Korzystało z nich kilkadziesiąt osób, a poza tym przedmioty wykładane na Kursach zostały opracowane na piśmie i posłużyły jako materiał do rozpoczętych w następnym roku Kursów Korespondencyjnych z siedzibą w Aix-les-Bains (Savoie).

W 1944-45 r. po przeniesieniu siedziby Kursów do Paryża program ich został ostatecznie ustalony i objął dwie serie wykładów: A. Kurs Handlowy Przygotowawczy — dla początkujących, B. Kurs Handlowy Ogólny — dla zaawansowanych. Każdy Kurs obejmuje od 4 do 8 przedmiotów, a każdy przedmiot 8 wykładów. Świadectwa z ukończenia Kursów wydawane są na podstawie odrobionych wypracowań i pomyślnego wyniku egzaminu, któremu poddani zostają uczestnicy Kursów.

Warunki pracy i wyniki osiągnięte przez Korespondencyjne Kursy Handlowe zależały od warunków, w jakich znalazło się wychodźstwo polskie we Francji. Podczas okupacji niemieckiej, która trwała do września 1944 r. Kursy mogły działać na terenie t. zw. wolnej Francji.

W okresie tym z kursów korzysta przede wszystkim uchodźstwo wojenne, skupione w obozach i schroniskach. Jest to okres wyjątkowo trudny zarówno dla prowadzących Kursy jak i dla uczących się. Do trudności komunikacyjnych i pocztowych doszły masowe deportacje Polaków, wywożenia na roboty do Niemiec, aresztowania i t. p. przeszkody, które zmusiły wielu rozpoczynających naukę do

przerwania jej, uniemożliwiając nieomal całkowicie systematyczną naukę.

Z przeszło 1000 osób, obojga płci, zapisanych na Kursy w okresie dwóch pierwszych lat mogło je ukończyć zaledwie 130 osób, które wykonały wszystkie wypracowania i zdały pomyślnie egzamin.

W każdym bądź razie liczby te, odnoszące się do uczestników Kursów, jak i do liczby wydanych świadectw, świadczą o dużym powodzeniu Kursów i wielkim głodzie wiedzy, jaki się ujawnił wśród wychodźstwa.

Na Kursy 1944-45 r. po przeniesieniu ich siedziby do Paryża, a więc po objęciu ich działalnością całej Francji przyjętych zostało z górą 400 osób: 300 — na Kurs Handlowy Przygotowawczy, 100 na Kurs Handlowy Ogólny.

Wobec konieczności ze względów technicznych ograniczenia nakładu skryptów, stu kilkudziesięciu kandydatów nie mogło zostać przyjętych na ten Kurs i czeka na następną serię, która rozpocznie się jesienią 1945 r.

W roku bieżącym większość uczestników rekrutuje się z pośród t. zw. starej emigracji, a zwłaszcza z pośród młodzieży, która po skończeniu szkół we Francji, pragnie zdobyć wykształcenie fachowe w języku polskim z myślą o rychłym powrocie do Kraju.

Dla pełnego zobrazowania zasięgu Kursów należy dodać, że opracowane wykłady służą często organizowaniu zespołów lokalnych, prowadzonych przez siły miejscowe. Zwłaszcza wykłady z przedmiotów ogólnokształcących wykorzystywane są do prowadzenia Kursów dla dorosłych.

UCZESTNICY O KURSACH

Przysyłam przy niniejszym piśmie czwartą i ostatnią serię wypracowań Ogólnego Kursu Handlowego.

Przyznać muszę, że wiele skorzystałem. Chętnie poddam się wszelkim formalnościom, by uzyskać świadectwo z ukończenia tych Kursów.

W przyszłości pragnąłbym w dalszym ciągu korzystać z kursów uzupełniających. Interesuje mnie handel towarów żelaznych, bo w tym dziale pracowałem trzy lata.

Oczekując łaskawej odpowiedzi, kreślę się z poważaniem.

(—) *Michalik Mieczysław.*

A u b i n.

Bardzo dziękuję Szanownym Panom za trud zorganizowania tak pożytecznych kursów. Mimo niesprzyjających warunków, dały mi możliwość przypomnienia wielu rzeczy i poszerzenia wiadomości z tej dziedziny życia praktycznego.

Skrypty są tak przejrzyste i nieskomplikowanie napisane, że bez specjalnego mozołu pojąłem wiele zagadnień handlowych.

Jestem również bardzo zainteresowany powakacyjnym projektem Szanownych Panów co do otwarcia nowych kursów. Prosiłbym o szczegóły co do nich, czy one będą dalszym uzupełniającym ciągiem obecnych, czy też niezależne.

Zdala od kraju i właściwej pracy zawodowej dobrze jest choć trochę podtrzymać i uzupełnić swe wiadomości. To też praca Szanownych Panów jest szczególnie cenna i pożyteczna.

Kreślę się z wysokim poważaniem.

(—) *Ryszard Wichert.*

M o n t g i v r a y.

Niniejszym bardzo dziękuję za list z dnia 5. 6. 1945, z którego dowiaduję się o dużej liczbie uczestników Kursów Korespondencyjnych. O o liczba 500 jest to tuż szkoła, która wymaga od Administracji zapewne dużo pracy. I oto niech Wam będzie Cześć i dziękczynienie za Wasze trudy. Szczęście Wam Boże i Waszej usilnej pracy, abyście zebrali obfity plon dla dobra Ojczyzny.

(—) *St. Rogala.*

L a M a r t i n i e.

Wiedzę, którą zdobyliśmy z tych kursów, wykorzystamy naleyście po powrocie do Kraju.

Równocześnie zapytuję się, czy Kierow. Kursów ma zamiar jeszcze uruchomić dalsze Kursy, jeżeli tak, to prosimy o łaskawe powiadomienie.

Oczekując łaskawej odpowiedzi, kreślimy się z należytyim poważaniem.

(—) *W. Fryszak.*

A x - l e s - T h e r m e s.

YMCA W POLSCE

W redakcji «Razem» mieliśmy miłą wizytę imkarza, który jeszcze niedawno temu był w Polsce. Jest to Polak z Kanady, wychowanek tamtejszej YMCA, przebywający w Polsce od 1937 r. Udzielił nam wielu informacji o pracy YMCA w Kraju w chwili obecnej.

Kraków prawie nic nie jest zniszczony, ucierpiał tylko dworzec i mosty. Życie rozwija się normalnie. Dom YMCA nie ucierpiał nic, bo był w nim za czasów niemieckich klub «nur fuer Deutsche». Władze YMCA przejęły go z powrotem natychmiast po oswobodzeniu Krakowa i rozpoczęły normalną pracę. Akcją kierują pp. Andrzej Krasicki i Kazimierz Lewandowski; — współpracują z nimi pp. Wroński, Janiszowski i Danowski.

W chwili obecnej Y. M. C. A., będąca, — oprócz harcerstwa, jedynym dozwolonym i cieszącym się poparciem władz ruchem młodzieżowym, pracuje bardzo intensywnie. Prowadzi ona kursy językowe (specjalnie angielskiego i rosyjskiego) i kursy fachowe, dla chłopców posiada ona bardzo rozwiniętą, a ponadto prowadzi jadłodajnię dla kilkuset uchodźców nie mających żadnego punktu zaczepienia: są to przeważnie Poznaniacy, wracający do siebie, lub Kresowcy przybywający z linii Curzona. Basen YMCA czynny jest od kwietnia b. r. Życie sportowe rozwija się normalnie czynne są już drużyny Wisły, Olchy i inne.

Zaznaczyć należy, że natychmiast po uwolnieniu Krakowa, w YMCA znaleźli dach i wyżywienie liczni jeńcy wojenni angielscy i amerykańscy.

NOWE OGNISKO

W dniu 17 czerwca b. r. odbyło się w Voiron w schronisku P. C. K. i mieszczącym się przy nim internacie dla młodzieży, otwarcie ogniska Y.M.C.A. Obecni byli: kierownik, zaproszeni goście, personel i pensjonariusze ogniska i młodzież.

Program zawierał krótkie przemówienie okolicznościowe kierownika schroniska, przemówienie kierownika Ogniska o celach i działalności Y.M.C.A. i produkcje wokalne (chór uczniów, akordeon, pieśni ludowe i żołnierskie, deklamacje, wiersze własne kierownika ogniska i t. p.).

W drugiej części odbył się turniej ping-pongowy, szachowy i zaprawa w boksie.

Świetlica jest urządzona b. estetycznie i ładnie. W sali sportowej mieści się ping-pong i tarcza ze strzałkami, w części hallu znajduje się ring dla boksu i ćwiczeń gimnastycznych, a we właściwej świetlicy są gry, szachy, koniki, warcaby, czytelnia, radio i t. p. Co sobotę odbywają się odczyty lub pogadanki i kominki ze społu uczniów internatu.

WYJAŚNIENIE

Redakcja wyjaśnia, że niedopatrzenie sprawiło iż w numerze poprzednim w rubryce «Między nami» opuszczono tytuł naukowy dr. Rudolfa Chwiałkowskiego w notatce mówiącej o powrocie imkarzy, za co najserdeczniej p. dr. R. Chwiałkowskiego przepraszamy.

LIST WYCHOWANKA

Nîmes, dn. 18 czerwca 1945 r.

Do Pana Dyrektora

Internatu Polskiej Y.M.C.A.

w Nîmes.

Odjeżdżając dziś z Internatu do Rodziców, pragnę z całego serca podziękować Panu Dyrektorowi i całej Dyrekcji Polskiej Y.M.C.A. za wszystko dobre, które od Polskiej Y.M.C.A. doznałem.

Gdy w czasie wakacyj w końcu lipca 1944 roku zostałem zabrany przez Niemców i wywieziony na przymusowe roboty do Wiednia, wtedy w ciężkich chwilach, które tam przeżywałem, zawsze myślałem o Rodzicach i o Internacie w Nîmes, w którym czułem się zawsze jak w domu. Nadszedł nareszcie ten szczęśliwy dzień, kiedy zostałem uwolniony przez Amerykanów i mogłem wracać do Francji. Zacząłem myśleć dokąd jechać. Nie miałem żadnej wiadomości o Rodzicach, ale zawsze myślałem, że w Internacie Polskiej Y.M.C.A., pomimo, że czasami dużo nabroiłem, Pan Dyrektor przyjmie mnie jak ojciec. Dlatego, gdy Amerykanie zapytali, dokąd mają mnie ewakuować, powiedziałem zaraz: do Nîmes, do Y.M.C.A.

Sześć dni jazdy. Nareszcie dojechałem do Nîmes. Z bijącym sercem wysiadłem z pociągu i prawie biegiem do Internatu. Niestety Pan Dyrektor był wtedy w Paryżu, ale Pan Profesor i Pani zarządzająca przyjęli mnie jak syna i zaraz poczułem się jak u siebie we własnej rodzinie.

Po przybyciu do Internatu witają mnie wszyscy serdecznie. Łzy przychodzą mi do oczu, bo nikt mnie nie zapomniał jak i ja również nigdy o Dyrekcji i o nich nie zapomniałem. Wszyscy zasypują mnie pytaniami, na które nie zaraz mogę odpowiedzieć, ponieważ wzruszenie moje jest wielkie.

Podziękować chcę Panu Dyrektorowi za pomoc w odnalezieniu moich Rodziców, którzy opuścili Decazeville, i nie wiedziałem gdzie się znajdują. Te trzy tygodnie, które spędziłem teraz w Internacie dały mi doskonały wypoczynek wśród kolegów, którym często mówiłem, jak powinni być wdzięczni Polskiej Y.M.C.A. za całą opiekę i wszystko co Y.M.C.A. daje.

Cieszę się bardzo, że zobaczę Mamę i Tatę ukochanych, ale przykro jednak opuszczać Internat, gdzie spędziłem tyle pięknych i niezapomnianych chwil, Internat, w którym zostawiam tyle bliskich i serdecznych kolegów i którego Dyrekcja z taką dobrocią ojcowską i zrozumieniem zawsze się do mnie zwracała.

Dziękuję Panu Dyrektorowi za wszystko, obiecuję, że będę pamiętał zawsze nauki, które otrzymałem w Internacie Polskiej Y.M.C.A.

(—) Józef Pytlowany.

WIADOMOSCI O IMKARZACH

Ostatnio ta teren Francji przybyło paru imkarzy z Polski — jeńców wrześniowych, lub po powstaniu Warszawskim, bądź to deportowanych do Niemiec. Są to pp. inż. Jerzy Kukucz, członek YMCA od 1924 r., współpracował w ognisku krakowskim i był jednym z członków założycieli ogniska w Gdyni, gdzie był długoletnim członkiem zarządu i zastępcą kierownika ogniska — Aleksander Radel, jeden z inicjatorów i założycieli ogniska w Gdyni, deportowany do Niemiec. — Julian Klejnowski-Karpowicz, dyrektor teatru marionetek YMCA w Warszawie, uczestnik powstania i Aleksander Zawadzki, sekretarz działu oświatowego ogniska w Krakowie.

Inż. J. Kukucz sprawuje obecnie w Centrali YMCA w Paryżu funkcję zastępcy kierownika Biura Głównego — a Aleksander Radel sprawuje funkcję magazyniera w Biurze Głównym.

Z otrzymanych o innych imkarzach wiadomości wynika, że w obozie w Konstancy przebywa p. Adam Rawicz-Kleczewski, kierownik działu W.F. w ognisku Warszawskim, a starzy imkarze pp. Olesiński, Bednarek, Stajewski wchodzi na skład ekipy polowej Polskiej YMCA z W. Brytanii — na teren Niemiec.

Prosimy wszystkich pracowników Imki z Polski, lub tych, którzy mają o nich wiadomości — o podawanie informacji do Redakcji «Razem», która w każdym numerze będzie publikować je w specjalnej rubryce dla ich rodzin i przyjaciół.

NA DEPORTOWANYCH

Pracownicy Biura Głównego Polskiej YMCA w Paryżu, 47, rue Cardinet, Paris (17^e) — śpiesząc z ofiarą pomocą b. jeńcom i deportowanym zebrali wśród siebie 3.200 frs. i sumę tę przekazali — Komitetowi Pomocy Jeńcom i Deportowanym.

W CZASIE POKOJU — Y.M.C.A. NIE LUBI BEZPŁATNEJ DZIAŁALNOŚCI

Polska Y.M.C.A., jako organizacja wychowawczo-społeczna opierała w normalnych czasach pokojowych swoją wszechstronną działalność na całkowicie zrównoważonym budżecie mającym własne wpływy i dochody. Podstawą dochodów Polskiej Y.M.C.A. były opłaty za korzystanie z różnych urządzeń Polskiej Y.M.C.A. jak Dział Wychowania Fizycznego (baseny pływackie, sale gimnastyczne i t.p.), Dział Oświatowy (różnego rodzaju kursy, odczyty i t.p.) oraz dary i subwencje osób prywatnych etc. Dzięki temu właśnie systemowi zdrowej gospodarki finansowej, Polska Y.M.C.A. była jedną z nielicznych w Polsce instytucji społecznych całkowicie samowystarczalnych.

Wojna stwarza dla Y.M.C.A. wogóle zgoła inne warunki pracy i powoduje, że prawie wszystkie jej przedsięwzięcia w wojsku, w obozach jenieckich, w kompaniach roboczych oraz wśród licznych skupień uchodźczych — prowadzone są bezpłatnie.

Na takich właśnie podstawach pracowała Polska Y.M.C.A. we Francji w ciągu minionych 5 lat.

Wchodząc obecnie w okres gospodarki pokojowej, Polska YMCA we Francji zamierza stopniowo w niektórych gałęziach swej działalności wprowadzać zasadę płatności, eliminując t. zw. «świadczenia darmowe», będące podstawą działania różnych instytucji dobroczynnych, a nie wychowawczo-społecznych, do których zalicza się Y.M.C.A. Oczywiście działalność Polskiej Y.M.C.A. w oddziałach wojskowych, wśród rzesz deportowanych oraz dla chorych i invalidów — pozostanie nadal bezpłatną.

MOR.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W Domu Wypoczynkowym (Hôtel Garden) w Nicei zobaczyłam po raz pierwszy pismo Sz. Panów «Razem». Zachwyciło mnie ono nie tylko piękną, dborową treścią, ale również z wnętrzną szatą. Nareszcie trzymałam w ręce pismo polskie natchnione kulturą i pięknie wydane. Dziękuję za tę radość, którą obecnie tak barczco rzadki.

(—) Anicka Waldenbergowa.

• HUMOR •

ROZRYWKA LALUSIA (Felietony Wiecha)

— Jakże to było, panie Ambroziak, z tą kradzieżą w pańskim mieszkaniu? — zapytał sędzieja grodzki tęgiego, niskiego pana o rumianej twarzy i niebieskich wesołych oczach.

— Śmiechu warte to wszystko, panie sędzio szanowny. To nie kradzież była, tylko czysto hasena, jak Pana Boga kocham.

— Więc żadnych strat pan nie poniósł?

— Owszem, smażony kotlet z wczorajszego obiadu postradałem, a poza tem nic.

— No jednak ktoś wzywał policję?

— Właśnie na tym cała draka polega, że to złodzieje same na siebie policję zawołali.

— W jakim celu?

— Żeby ich przed mojem Lalusiem obroniła.

— Któż to jest taki?

— Cwajnos rasowy.

— Niechże pan szczegółowo opowie sądowi, jak to było.

— Służę. Psa posiadam, panie sędzio — można powiedzieć rzadki okaz. Na dużość będzie taki, jak ten bufet, za którym pan sędzia siedzi. Morde ma większe, jak ten otyły pan co w pierwszej ławce figuruje. Waży 60 kila, a samopoczucie humorystycznego żartu posiada nadzwyczajne.

Zwłaszcza ponieważ ze złodziejami lubi się zabawić.

Nigdy napróżd rabanu nie narobi, siedzi cicho, aż do czasu, gdy wejdą do mieszkania i wtenczas dopiero zaczyna ich kołować.

W danem razie było tak samo. Tylko że miało stworzenie większe szczęście, bo jak panu sędziemu wiadomo, te złodzieje starozakonne.

Panie sędzio szanowny, jak sobie wspomnę, co się tam musiało dziać, kolki mnie łapią ze śmiechu.

Tu pan Ambroziak zaniósł się tak serdecznym śmiechem, że łyż jak grad leciały mu z oczu. Opanował się jednak i mówił dalej.

— Jak już zaznaczyłem, kiedy te złodzieje przysli do mieszkania nie było nikogo więcej, tylko Lalus.

Zapakowali pościel w tłumok, otwierają szafę, żeby rzeczy wyjąć a tu ze środka Lalus wyskakuje. Tam się dla większej haseny schował, i dawaj żydów po mieszkaniu ganiać.

Co oni nie robili? Na parapeta, na komodę, na stół włożyli, a on ich zdejmął i za każdym razem kawał marynarki albo spodni, to jednemu, to drugiemu obdzierał.

Widzą złodzieje, że krewa, wyjęli z kredensu wczorajszy kotlet i częstują Lalusia. Owszem, przyjąć przyjął, ale przy drzwiach się położył i konsumuje.

Dopiero, jak się naopychał, nowej siły nabrał i dawaj od początku się ze złodziejami podbawiać.

W krótkim czasie tak ich poobdzierał, że tylko kołnierzyki i buty mieli na sobie — nędzarzy z nich uskutecznił.

Ostateczna rozpacz tych flimonów ogarnęła. Okno otworzyli i zaczęli wołać: «Policja, policja»!

— No dobrze, ale skąd pan to wszystko wie?

— Przez pół godziny przez dziurkę od klucza na to patrzyłem i myślałem, że konwulsji ze śmiechu dostanę.

— A nie mógł pan wejść i zatrzymać złodziei?

— Po co? Stworzenie też musi mieć swoją rozrywkę.

Oskarżeni pp. Dawid Miodownik i Majloch Cypkin przynali się do wszystkiego, prosząc tylko o jak najszybsze wydanie wyroku ze względu na obecność w korytarzu sądowym Lalusia, który towarzyszył swemu panu w charakterze świadka. Nie był jednak badany. Sąd z uwagi na specjalne okoliczności przestępstwa skazał obydwu panów tylko na 3 miesiące więzienia.

TAJEMNICZA KRADZIEŻ

— Oskarżony Krzesło Stanisław! — zawołał sędzia grodzki, patrząc na salę.

Nikt się jednak nie podnosił, nikt nie przesunął ze strąpioną miną w stronę sędziowskiego stołu.

Szafarz sprawiedliwości powtórzył wobec tego jeszcze głośniejsze nazwisko podsądnego, dodając, że odbywać się będzie sprawa szósta z wokandy.

Na te słowa wstał wolno z trzeciej ławki jakiś zażywny szatyn z wąsami a da Wilhelm II i potrząsając ze zdumieniem głową podszedł do sędziego.

— Pan jest Krzesło? Czemu się pan odrazu nie zgłasza? Czy przyznaje się pan do kradzieży śmietany na szkołę Zenobiusza Kiwajki?

Zamiast odpowiedzi szatyn popatrzył na sędziego wybaluszonymi oczyma poczym pochwycił się za głowę, jak gdyby bojąc się, żeby mu nie popękała. Po chwili dopiero wyjęczał:

— Rany Boskie! Co tu się dzieje? Kto to tak narozrabiał? Przecież to wszystko do góry nogamy, jak pragnę zdrowia jest przewrócone. Nikt nikomu żadnej śmietany nie ukradł i ja się nie nazywam Krzesło, tylko mnie wiedeńskie wyplatane krzesło spod żony ukradli.

— No a z tą śmietaną jak było?

— A ta śmietana to właściwie jestem ja. Tak się nazywam.

— Jaktóżto przecież śmietana miała stanowić własność poszkodowanego Zenobiusza Kiwajki.

— Jakiem prawem panie sędzio ja mogę stanowić własność Kiwajki, skoro jeżeli on mnie krzesło ukradł z pod żony? Tu ktoś coś narozrabiał!

Sędzia nie mogąc zrozumieć o co chodzi poprosił szatyna o szczegółowe wyjaśnienie całej sprawy.

— Detalicznie to było tak, proszę sądu wysokiego: Moja żona Pelasia siedziała sobie na krześle przed domem i patrzyła się przed siebie.

— Jaktóżto na ulicy?

— U nas w Targówku to przyjęte.

Ano, jak tak sobie siedzi, to przychodził pan Kiwajko z naszego domu i zaczynają się rozmawiać. Ni z tego ni z owego pan Kiwajko podnosi rękę do góry i woła:

— Ooooo!

Moja żona jako osobistość płci damskiej jest ona się rozumieć ciekawa i myślała, że pan Kiwajko europlan jej pokazuje. Ale nic nie widzi, ale pan Kiwajko wciąż jej coś pokazuje. No to w końcu wstała i wytrzeszcza oczy na niebo, ale tam nic nie było, zgniewała się i całą siłą usiadła na... kamieniach, bo krzesła już przed nią nie było.

Pan Kiwajko bez ten czas go musiał gwizdnąć i komuś z boku odpalić. Żona trzy dni w łóżku leżała z kompresem pod ceratką, bo sobie tylne część ciała odbiła. A ja

ponieważ że krzesło było od tuzina i teraz kompleta nie posiadam poszłem ma się rozumieć do komisariatu i wszystko zeznałem, a kto to do góry podszewką wykreślił tego nie wiem.

— A czy idąc do komisariatu nie wstępował pan do restauracji na jednego?

— Owszem, bo szwagra szukałem, żeby się z nim naradzić, co z tym Kiwajką robić.

Sędzia uznał zagadkę za wyjaśnioną. Zameldowanie p. Śmietany złożone w komisariacie musiało się odznaczać pewną mglistością i stąd powstały omyłki w akcie oskarżenia.

Wobec czego sprawę przesłano z powrotem do policji, gdzie p. Śmietana ma się zgłosić dziś o 8-ej rano, o ile to możliwe naczczo.

W. NASIŁOWSKI

NASI CHŁOPCY

— Powiedzno mi Leon co to jest materiał ana-logiczny? — spytał pewnego wieczora strzelec Knapik swego serdecznego przyjaciela starszego strzelca Leona Pietruszki.

Pietruszka się zdumiał:

— Co? materiał aganiliczny?

— Nie agano ale anago... nie, psia krew! a-na-lo-giczny!...

— Cholera go wiel! A bo co?!

— Bo widzisz dziś kapral Stojak nam powiedział, że zamek w kabe jest zrobiony z materiału a-na-lo-gicznego...

— Z dęba spadłeś?

— Szczera prawdę ci mówię — to było tak: kapral mnie woła na wykładzie i daje kabe do ręki i mówi: «Strzelec Knapik, z czego jest zrobiona lufa?»

— ... z żelaza panie kapralu!

— Nie z żelaza, — ale ze stali!

— Tak jest panie kapralu: ze stali!

— A z czego jest zrobiony zamek?

Zamek, panie kapralu, jest też ze stali!

— Nie! Cholera! Sto razy wam trzeba do zakutych łbów łopata wkładać!

Zamek jest zrobiony z materiału analogicznego.

— Tak jest panie kapralu — zamek jest z materiału... analogicznego..., ale melduję, że nie wiem co to jest!

— Siadać, strzelec Knapik, takiej głupiej rzeczy nie wiedzieć!... siadać! I nie rezonować!...

No i teraz tak się głowie co to za cholera ten materiał a-na-lo-giczny...

A WSZYSTKO O BABĘ

Strzelec Tatarak Bolesław nigdy nie czytał «Wojny Narodów» — Małaczewskiego, ani nigdy nie słyszał słynnego powiedzenia Napoleona, że historia się powtarza (czy to był naprawdę Napoleon?) i dlatego wydawało mu się, że przygoda, która mu się wydarzyła jest absolutnie oryginalnym unikatem. To było tak... ale najlepiej będzie, jeżeli posłuchamy jego samego, kiedy w gronie swoich najlepszych kolegów rzecz przedstawiał:

— Ja tam nie chwalać się do babów mam szczęście, a oprócz tego mam gust... Kiedy dziewczynkie sobie znajdzie, to palce lizać... tu wykonał kilka ruchów absolutnie międzynarodowych, z których wynikało jasno, że u płci pięknej przede wszystkim miękkie i okrągłe kształty ceni. — I kiedy z moją Maryską wstąpiłem raz w niedzielę wieczór do baru amerykę — to bractwo

ślepią wywaliło jak nie przymierzając wół przed ratuszem... Same wojskowe: Amerykanie, Ruskie, Angliki, Francuzi, paru Polusów, ba! nawet dwóch murzynów i jakiś Chińczyk w mundurze marynarskim...

Siedliśmy sobie w kacie; kobiecie postawiłem limonjady z sokiem pomarańczowym, a sobie jeden głębszy... Maryśka baba jest fest. Obycie swoje zna, ma wychowanie odpowiedzialne, po katarsku klepie jak żyd po niemiecku, ubrana aligancko, w kapelusie z piórem pawiem na pół metra, z czerwonom torebkom na czerwonym pasku, z rękawiczkami...

Krótko i węzłowato kobita jak się patrzy pod wszystkimi względami wogóle i w szczególności... A chłopcy — jeszcze na dodatek wojskowe — lecą na baby jak muchy na lep — wiadomo. Jakiś Amerykanin w lotniczej bluzie zaraz zaczął się mizdrzyć do Marysi. Palił fajkę pod bufetem na wysokim stołku i zęby do niej szczyrzy... Udałem, że nie widzę — spokojny jestem człowiek, nie lubię zaraz do pyska komuś skakać o byle głupstwo...

Patrze w drugie strone i cholera mnie bierze: jakiś sierżant francuski gapi się na moją babę jako sroka w gnat i widać jak mu grdyka chodzi, bo przetyka ślinę...

Patrze w trzecią strone, a tu dwóch Anglików pokazują ją sobie paluchami...

Gadam z Marysią, która cała czerwona jak piwonia zerka to tam, to tu... Wiadoma rzecz. Baby zawsze «my ta nie od tego»...

Niby jestem spokojny, ale krew serdeczna mnie zalewa i wątroba pod gardło podchodzi. A potem nagle jakiś Amerykanin dobrze wstawiony siada sobie obok na beczelnika i zaczyna cholewki smalić do Marysi.

— Ha!dujdu — powiada i potem coś, czego za cholereę skapnąć nie można. Gębę miał trochę piegłą i był troszkie łysawy...

Marysia odsuwa się od niego i mówi:

— Bolek — na rany Boga, co on chce?

— Czego on chce to wiem bardzo doskonale!...

I do niego:

... Odczep się pan, pókim dobry!

On nie. Gęga coś pod nosem i przysuwa się do kobiety. Romantyka odstawia, w ślepią jej patrzy... Szlag mnie trafił, zerwałem się na równe nogi:

... Zmykaj bracie w podskokach! Łysy potomku włochoatego mamuta! Krzywdę ci zrobię, choć w alianckiej jesteś armii... Zapowiadam grzecznie! I jak go nie lunę w dolne szczęki, aż chłop odleciał na trzy metry i zbił szklankie piwa...

Marysia skoczyła do mnie. Amerykanin wstaje wściekły jak wszyscy diabli i z rękami do mnie. Ale, że pijany był już dobrze, więc się troszkie zachwiał, a ja go wtedy pchnętem drugi raz, aż mu krew z nosa poleciała, i przewrócił dwa krzesła. Amerykanie ujęli się za swoim i do mnie ławą... ja za stołek... Francuz jakiś z wrzaskiem stanął po mojej stronie. Trzech Polusów do mnie w pomoc... I jak się nie zaczniesz! Butelkami zaczęli się bombardować (wiadomo, lotnicy!), krzesła łamać i za łby się wodzić... Baby po kątach piszczą. Garsą krzyczy w niebogłosy, jakby go kto ze skóry obdzierał... Ja nie na darmo na Marymoncie za chojraka uchodziłem... Jakiś kapral angielski złapał mnie za gardło, ale go prostym prawym w oko hukłem, że zaczął wrzeszczeć: Help! Help! i uciekł. Cała sala za czupryny się wodzi. Ktoś butelkami w lampy zaczął rzucać, potem w bufet... Nasi się dzielnie trzymają. Krzeselkami... Wrzask jak cholera. Ktoś mnie łupnął w nogie, że wszystkie gwiazdy z niedźwiedzicą małą i dużą zobaczyłem — ale za to mu na głowie złamałem stołek — a że hełmu nie miał, więc pod stołem się

uspokoili... Jednemu Francuzowi rozdarli spodnie i go-
łymi kalesonami świecił... Wojna jak na linii Zygfryda!

Uspokoilo się dopiero wtedy jak Military police przy-
jechała w 3-ch kamionach i w hełmach... Murzyna i
Chińczyka zabrała karetka... Marysi ktoś złamał pióro
od kapelusza — ale była bardzo dumna. A potem wszy-
scy razem pospinani agrafkami Anglicy, Amerykanie,
Polacy i Francuzi wypiliśmy zgodnie po 3 głębsze...
Było nie było, jesteście alianci...

A wszystko o babę. A Sienkiewicz mówił, że baba jest
jak pierze...

POLSKA Y.M.C.A. WE FRANCJI

poszukuje

książek polskich i

polskich płyt gramofonowych.

Składajcie ofiary lub zgłaszajcie książki i płyty na
sprzedaż — do Biura Głównego YMCA — 47, rue Car-
dinet, Paris (17°).

odpowiedzi redakcji

P. J. Majcherczyk, Lille. — Otrzymaliśmy, ale nie wykorzysta-
my. Kpiarz powiedziałby, że to nie ma «alibi literackiego» —
te wszystkie «marazmy psychiczne», «blichtry goryczy» i
t. d. List wyszedł, widocznie nie doszedł: proponowaliśmy
częstsze nadsyłanie Pańskich rzeczy, ale też bez «marazmów
aktualnych wydarzeń», bez duchów, co «błyszczą blaskiem
wszelkiej chwały i zadośćuczynienia». Dobrze? Pozdrowie-
nia.

P. W. Paszek-Cassy Lanton. — Mysł wierszy szczególnie pierw-
szego jest ładna, lecz wykonanie rozwodnione. Radzimy po-
pracować.

P. St. Buško, St. Aubin de Beautigne. — Przerwa w otrzy-
maniu numeru wywołana została poprostu tym, że numer nie
wyszedł — tylko podwójny, raz na miesiąc.

P. R. Tyczyński, Uriage les Bains. — Serdecznie dziękujemy za
nadesłane materiały. Część wykorzystujemy. Bardzo nas wzru-
szył list Pana. Słowa uznania i zachęty takie proste, bezpo-
średnie nieczęsto dziś ludzie umieją wypowiedzieć. Listem
odpowiadamy w sprawie poruszonej przez Pana.

P. F. Jarmuntowicz, Liège-Belgia. — Za miłe słowa dziękujemy.
Będziemy wysyłać w kilku egzemplarzach.

P. Rożek, Księgarnia Polska, Lens. — Będziemy wysyłać po pa-
rę egzemplarzy. Nakład nie jest duży.

P. J. Kowalska, Monplaisir. — Odpowiedzieliśmy w poprzednim
numerze. Cieszymy się, że «Razem» podoba się Pani.

P. H. Pogodała (Komitet Tow. Miejsc.), Harnes. — List przy-
szedł za późno, by coś przygotować dla Panów akademię z
okazji rocznicy śmierci ś.p. gen. W. Sikorskiego. Portrety
naraźnie wyczerpane.

P. M. Małowówna, Haillicourt. — Niestety piosenek Armii Kra-
jowej nie mamy, radzimy zwrócić się bezpośrednio do Pol-
skiego Radia w Londynie. W następnym numerze podamy
parę nowych piosenek.

Wobec ciągle napływających zgłoszeń o nadsyłanie
«Razem» wyjaśniamy, że posiadane już zgłoszenia wy-
czerpują cały nasz nieduży ze względu na brak
papieru nakład, wobec czego nie jesteśmy w stanie
zaspokoić próśb naszych Czytelników. Oddawajcie więc
„Razem” po przeczytaniu — z ręki do ręki!

Fotoreportaż z życia polskiego w WINGLES.



Młodzież zachowuje tańce narodowe. Pierwsza Komu-
nia, Wycieczka urządzona przez Księdza.